



USŁYSANE NA DZIEDZINIE

opowieści małolipnickie

Lipnica Mała 2023



Diablak

Lipnica Mała

USŁYSANE NA DZIEDZINIE

opowieści małolipnickie

Jabłonka

Wydawca:

Parafia św. Stefana w Lipnicy Małej

**Pomysł tytułu publikacji:**

Anna Olesińska

Korekta:

dr Barbara Zgama, ks. Piotr Grotowski

Grafiki:

Maciej Ciszek

Zdjęcia:

Archiwum Parafii św. Stefana, Feliks Michalak,
Agnieszka Kobroń, Xymena Smreczak, Jerzy Jędrys,
Andrzej Łuka, Janusz Pajkos, Adrian Jarosz, Mateusz Ślamczyk,
Agata Lichosyt, ks. Józef Morawa, ks. Piotr Grotowski,
Wojciech Wykręt, Zofia Rydet (©Fundacja im. Zofii Rydet),
Magdalena Kostrzewa-Smreczak,
Archiwum Narodowe w Krakowie

Zdjęcie na okładce:

Łukasz Sowiński

Opracowanie mapy:

Adrian Jarosz, Mateusz Ślamczyk, ks. Piotr Grotowski

Trasa zielonego szlaku na Babią Górę:

Damian Pena

Kody QR:

Zespół Virtualpro, Fundacja im. Zofii Rydet,
Muzeum Etnograficzne w Krakowie, Dawid Pulit

ISBN: 978-83-66877-13-9

Tytułem wstępu

Przybywając w nieznane dla siebie miejsce, ciekawy świata człowiek szuka charakterystycznych obiektów lub historycznych budynków. Lipnica Mała dla przybysza, jak wiele innych małych miejscowości, na pierwszy „rzut oka” prócz kościoła, cmentarza, remizy czy kilku starszych domów wydaje się nie posiadać turystycznych atrakcji. Także większość jej mieszkańców ma trudności ze wskazaniem miejsc, które byłyby godne odwiedzenia i poznania. Jednak badawcza dociekliwość i wsłuchanie się w opowieści poszczególnych osób, posiadających historyczną pamięć, pozwalają na odszukanie wielu specyficznych i zagadkowych miejsc, osób i wydarzeń, które sprawiają, że można przenieść się w ciekawą i pełną atrakcji przeszłość.

Jedną z najczęściej wymienianych nazw, z którą trudno powiązać jakiekolwiek sensowne znaczenie, jest „kocy zomek” lokalizowany przez rozmówców w konkretnym, zalesionym miejscu, w jakiejś mierze budzącym grozę. Nikt nie potrafił jednak wyjaśnić genezy słów tworzących tę nazwę, a tym bardziej czasu i motywu powstania. Z pomocą przychodzi analiza węgierskiego słowa kocs, czyli powóz. Język węgierski przez wiele lat był urzędowym językiem na Orawie, a w swoim czasie ów kocs spełniał rolę bojowego wozu obronnego. Na marginesie warto wspomnieć, że nazwa węgierskiego miasteczka

Kocs dała początek słowu występującemu w wielu europejskich językach w prawie niezmienionej formie, oznaczającego wóz czterokołowy. Mieszkańcy miasteczka leżącego na szlaku między Wiedniem i Budapesztem trudnili się wyrobem powozów, a także pełnili funkcję przewoźników.

Po jednym z większych europejskich konfliktów religijnych w rejonie Spisza i Orawy pojawiły się rozproszone resztki pohusyckich maruderów, tworzących zbójnicze oddziały. Właśnie z wozów, którymi się poruszali, tworzyli linie wałów, które stawały się podobnymi do zamkowych murów obronnych. Zza takiej osłony można było prowadzić walkę z nacierającymi oddziałami przeciwnika. Miejsca wybierane do zbudowania takiego „wozowego zamku” też były nieprzypadkowe. Znajdowały się przy głównych traktach, na rozległych, niezbyt wysokich wzgórzach w celu doskonałej widoczności na wszystkie strony. Znane są też z historii warowne obozy czeskich husytów, których odłamy przenikały również za granicę, w tym na tereny Orawy.

Lipnicki „kocy zomek” spełnia wszystkie wymogi tego warownego, tymczasowego obozowiska. Obsadzony w póź-





niejszym czasie drzewami, w formie specyficznie ułożonego okręgu, znajduje się na wzgórzu przy *Wierchowej Drodze*, będącej przez długie lata główną drogą, biegnącą między Wielką i Małą Lipnicą. Co więcej, analizując mapy sąsiadujących z Orawą rejonów m.in. okolic Cieszyna, Nowego Targu, Nowego Sącza, Limanowej, Jasła, Dębicy czy Bochni, można znaleźć podobnie brzmiące nazwy równie tajemniczych miejsc: „ko-czy zamek”, „koci zamek”, „kołczy zamek” czy koczy zamek”. Pozwala to na stwierdzenie, że podobieństwa nazw nie są przypadkowe. Późniejsza historia „kocego zomku” w Lipnicy Małej obrosła wieloma legendami, z których prawie wszystkie łączą się ze strachem, pojawiającymi się w tym miejscu tajemniczymi postaciami lub nigdy niewyjaśnionymi historiami, które mrożą krew w żyłach.

Próba odnalezienia znaczenia nazwy „kocy zomek” stała się inspiracją do szukania innych ciekawych miejsc, obiektów, osób i wydarzeń, które opisywane w wąskim gronie najbliższych osób przez odchodzące już pokolenie małolipniczan zaginęłoby nieodwracalnie. Dwanaście historii, które można przeczytać oraz obejrzeć na kartach tej publikacji, nie



układa się w całość ani chronologicznie, ani tematycznie, ani geograficznie. Są to usłyszane na Dziedzinie historii, które wydarzyły się na biegnącym dziś przez Lipnicę Małą zielonym szlaku na Babią Górę w różnych momentach płynącego czasu. Nie są też w większości oparte na historycznych źródłach, a raczej na modyfikowanych przez lata opowieściach przekazywanych z ust do ust w czasie wieczornych *posiadów*, które również zostały wyparte przez współczesne środki przekazu.

Z jednym wyjątkiem autorami tych opowieści są osoby mieszkające w Lipnicy lub identyfikujące się z miejscowością przez fakt urodzenia, dziennikarscy amatorzy, pasjonujący się historią swojej Małej Ojczyzny. Podjęli się wysłuchania odchodzącego powoli w przeszłość pokolenia Małolipniczan, odnalezienia skrawków legend i mitów związanych ze szczególnymi miejscami czy przedmiotami, a także dokumentowania ginących pamiątek małolipnickiej historii. Część z nich została zilustrowana symbolicznymi grafikami. Trzynasta księga dotycząca stosunkowo bliskiego wydarzenia, zapisana przez zawodowego dziennikarza, często przebywającego na orawskiej ziemi jest zaproszeniem do kontynuacji poszukiwań i dalszego zapisywania śladów pamięci.

ks. Piotr Grotowski





Lipnica
Mała





Diablak

Lipnica Muśka

Jabłonka

Krzyż na Pakosowie - Boża Męka

O krzyżu *na Pakosowie* jest wiele opowieści i legend. Każda z nich ma swoją historię i kryje jakąś tajemnicę, tworząc ciekawe dziedzictwo kulturowe naszej Małej Ojczyzny. Boża Męka, bo tak właśnie to miejsce nazwali mieszkańcy, znajduje się przy *Wierchowej Drodze*, która ciągnie się od strony Babiej Góry, od roli *Ferencowej*, w dół do roli *Janowej*, w kierunku Lipnicy Wielkiej. Dawniej tą drogą gospodarze wywozili drzewo z lasu. W miejscu zwanym Bożą Męką drogi krzyżowały się w różne strony. Główna biegła w prawo przez *Odumiarki* do Lipnicy Wielkiej, którędy to podążali kupcy: *gruscorze* i *śliwcorze*, którzy jeździli do Sidziny *na handel*. Uczęszczali nią także nasi rodacy, poszukujący pracy na Słowacji i Węgrzech.

To miejsce było bardzo ważne dla naszych przodków, więc obrosło legendą i doczekało się opowieści, które przekazywano z pokolenia na pokolenie. Z informacji otrzymanych od ks. Józefa Morawy, krzyż *na Pakosowie* był tzw. krzyżem pielgrzyma. Mieszkańcy Lipnicy Małej do początku XX w. nie mieli jeszcze własnego kościoła, dlatego chodzili *Wierchową Drogą* do parafii św. Łukasza w Lipnicy Wielkiej. Wtedy w naszej wsi byli ludzie



Krzyż na Pakosowie



Krzyż pielgrzyma

zwani *bozynikami*. Ich zadaniem było między innymi wyznaczanie, kto idzie na nabożeństwo do kościoła, a kto z mieszkańców modli się w domu.

Pewnie z tego powodu zrodził się pomysł, aby na odcinku, który pokonywali, idąc do kościoła w Lipnicy Wielkiej, postawić krzyż, symbol ich wiary i nadziei. Pierwszy krzyż powstał prawdopodobnie w czasie II wojny światowej i po-

święcił go ks. Józef Buroń. Z kolei ks. Józef Morawa pamięta drugi krzyż, zrobiony z modrzewia, nad którym był charakterystyczny daszek. Z czasem jednak i on wymagał wymiany, i się jej doczekał. Krzyż, o który dzisiaj dbają mieszkańcy, prawdopodobnie jest już czwartym na tym miejscu.

Przechodząc obok niego, wiele osób z czcią żegna się, zdejmując czapkę, skłania głowę, odmawia za zmarłych „Wieczne odpoczywanie”. Wciąż jeszcze podczas pracy w polu, choć jest jej coraz mniej, ludzie w samo południe przerywają swe zajęcia, patrzą w stronę krzyża i odmawiają modlitwę „Anioł Pański”. Niektórzy mieszkańcy twierdzą, że do postawienia

w tym miejscu krzyża przyczynił się zbieg różnych dziwnych zdarzeń: wypadków śmiertelnych lub *straszenie* w tym miejscu przechodniów i turystów.

Pani Cecylia Pakos pamiętała z opowieści starszych mieszkańców, że rodak Tomasz Stechura, który wracał w 1900 r. z pracy na Węgrzech oraz Wojciech Kidoń, który około 1910 r. wracał ze Słowacji, ponieśli śmierć obok miejsca, gdzie znajduje się krzyż – zamarзли i przysypał ich śnieg. Wspomniała także, że kogoś właśnie tam *przywaliło* spadające drzewo. W tamtych latach gospodarze, którzy bardzo dbali o swoje pola i niemalże każdego dnia przemierzali *Wierchową Drogę*, opowiadali, że pokazywały im się osoby, które nic nie mówiły. Prawdopodobnie byli to rodacy, którzy zmarli



Krzyż Boża Męka

nieopodal miejsca, gdzie postawiono krzyż. Ich dusze błędziły i potrzebowały modlitwy – mówili mieszkańcy. Kiedy dzwony dawały znak na „Anioł Pański”, w południe i wieczorem podążających tą drogą gospodarzy, zaczynał *wodzić błąd* – nie wiedzieli, gdzie są, mieli wrażenie, że znajdują się w innej rzeczywistości, w jakiejś otchłani. Konie płoszyły się i stawały dęba.

Jedna z historii opowiada o gospodarzu, który jadąc orać pole, w pewnym momencie na *Wierchowej Drodze* stracił panowanie nad końmi. Ponoć mu się wydawało, że wiozą go karetą po pięknych, baśniowych miejscach tego świata, a może nieziemskich krainach. Był tym wszystkim przerażony, ale i bardzo zachwycony. Miał wrażenie, że trwa to całe wieki, i że ogarnęła go niewidzialna moc. Kiedy się ocknął, a że był w podeszłym wieku, zobaczył, że pasterska laska, jest do połowy zdarta, a on sam nie jedzie żadną kareta, lecz siedzi na polu. Po powrocie do domu opowiadał przerażony, co go spotkało przy *Bożej Męce*.

Ks. Józef Morawa wspomina, że w latach 50–60. XX wieku drogą, na której znajduje się krzyż, przechodził często proboszcz z Lipnicy Wielkiej ks. Alojzy Wilczyński, który bardzo przyjaźnił się z proboszczem z Lipnicy Małej ks. Józefem Buroniem. Ks. Wilczyński, nie mając samochodu, śpiewając pieśni maryjne i „Godzinki do Matki Bożej”, szedł drogą przez *Odumiarki*, przysiadł przy *Dziawragowej Studziencie*, podchodził do krzyża na *Pakosowie*, a następnie schodził w dół koło

cmentarza cholerycznego *snurowom miedzom* wprost na kościół i plebanię, aby spotkać się ze swoim przyjacielem ks. Józefem Buroniem.

Lipniczanie wierzyli i wierzą do dzisiaj, że postawiony krzyż chroni od złego i daje poczucie Boskiej opieki. Krzyż służy również jako punkt orientacyjny na polnych i leśnych rozstajach. Wskazuje właściwą drogę mieszkańcom, a także turystom, ponieważ tędy prowadzi zielony szlak na Babią Górę (Królów Beskidów), pięknie widoczną z miejsca, gdzie stoi krzyż *Boża Męka*. W 2022 r. z inicjatywy proboszcza ks. Piotra Grotowskiego, odbyła się plenerowa droga krzyżowa od kościoła św. Stefana *na Pakosowo*, gdzie czternastą stacją była *Boża Męka*.

Krzyż *na Pakosowie* świadczy o pobożności naszych przodków, jest wyrazem wiary minionych pokoleń. To również drogowskaz w życiu każdego, kto czci Chrystusa. Człowiek, który czyni przed nim znak krzyża, odmawia krótką modlitwę, zatrzymuje się, oddaje zadumie i przemyśleniom o własnej wędrówce życiowej, która przez krzyż prowadzi do zmartwychwstania, „bo krzyż to klucz do nieba...”, daje świadectwo swej wiary.

Agnieszka Kobroń





Ón tu, ón tu stela był

Karol Wójciak zapisał się w polskiej kulturze ludowej jako Heródek, rzeźbiarz prymitywista z Lipnicy Wielkiej na Orawie. Swoje życie spędził właściwie samotnie, mieszkając w *stajni*, która służyła mu również za pracownię rzeźbiarską. Był pastuchem, na którym ciążyło piętno *głuptoka*. Bardzo krótko chodził do szkoły, a mimo to nauczył się czytać i pisać. Heródek miał problem z komunikowaniem się, mówił *chrapawo*. Został zapamiętany jako człowiek życzliwy i uczynny. Był nieśmiały, jednak zachęcony, stawał się gawędziarzem i muzykantem. Śpiew i gra na skrzypcach własnej roboty były dla niego okazją do aktywnego bycia wśród ludzi. Zapraszano



Karol Wójciak - Heródek

go na chrzciny i wesela, a za zabawne muzykowanie nagradzano smakołykami. W gniew wpadał tylko wtedy, gdy niszczonego jego rzeczy.

W dziecięcych wspomnieniach małolipniczan z roli *Hujasowej*, bo to właśnie tutaj odwiedzał życzliwych mu gospodarzy, pozostał postacią wesołą, ale i przerażającą. Aniela Wontorczyk (1932–2017), mieszkanka Lipnicy Małej, z którą przeprowadziłam wywiad, mówiła: *A dzieci sie go okropnie boły. A ón tak cupkoł nogami, a śmiał sie. A dzieci tak uciekały, boły sie.* Marian Smreczak, artysta rzeźbiarz, mieszkaniec tej roli mówi, że jako dziecko faktycznie się go bał, ale nigdy nie unikał. Pamięta tego człowieka w długim płaszczu, z dużą ilością krawatów na szyi, pamięta też to jego *cupkanie*. Najbardziej intrygowało go jednak *odziynie* Karola. Wspomina duże kieszenie skrywające tajemnicze przedmioty. Heródek niejednokrotnie pokazywał dzieciom, co tam nosi. Były to: guziki, kamyki, patyki, a także rzeźby, które strugał. Marian Smreczak dokładnie pamięta te rzeźby, niejednokrotnie wspomina postać Heródka w kontekście własnej twórczości rzeźbiarskiej.

Karol Wójciak rzeźby wykonywał z *gnotków* przeznaczonych na opał. Rzeźbił Pana Jezusa, Matkę Boską i wizerunki świętych, a zwłaszcza anioły. Forma tych figur jest wyjątkowo prosta. Jednym szczegółem anatomicznym, na który rzeźbiarz zwracał uwagę, była twarz z dużymi oczami. Aniela Wontorczyk mówiła: *Ón był u dziadka (Ignacy Smre-*

czak 1910–1994) w Lipnicy Wielkiej. Krowy pos, ale tam w kucy mioł takie społeczki, rzeźbił takie selijakie. No podobne to było [do postaci] i tak ón chodził i tym sie cieszył. Na ostatku sie o nim zwiedziła telewizyjo, no i przyšli... W rozmowie Aniela Wontorczyk podkreślała: *Jo go rada widziała. Ón u nos nocowoł kielo razy. Skond przyseł i tu nocowoł, nie wiyim. Kie ón przyseł to opowiadał. Ón strasnie opowiadał. Jo go rada słuchała. Ale ón tu u nos duzo nocowoł. Ale kiek mu dawała poduske pod głowe, ón odrzucił. „Niy” – pedzioł. A miałak tam stołeczek, i tyn płasc wzion, tak poswijoł doł se i tak lezoł. Jo go lubiała.*

Heródek nigdy nie spał w domu, zawsze wybierał miejsce wśród zwierząt, w sianie. Gospodyni opowiedziała mi zabawną historię o tym, jak Heródek nocując u nich, przestraszył jej męża. Tej nocymiała ocielić się krowa, mąż Anieli Wontorczyk nie wiedział, że w *stajni* wśród siana śpi Karol Wójciak. Wybudzony ze snu gość podniósł się niespodziewanie i przestraszył zaglądającego na krowę gospodarza. Moja rozmówczyni często powtarzała: *Jo go lubiała.* Podczas rozmowy uśmie-



Rzeźba Karola Wójciaka



Autorka na wystawie prac Heródka

chała się i bardzo radośnie reagowała na pokazywane przeze mnie zdjęcia i nagrania przedstawiające tego mężczyznę.

Niewiele wiemy o rodzinie Heródka. *Niewyjaśnione* pozostają tajemnicze sprzeczności w opowieściach o ojcu Heródka i jego rodzinie. Wiemy na pewno, że Józef Wójciak urodził się w 1861 roku i pochodził z Lipnicy Małej, a zmarł w 1927 roku, zatem kiedy Heródek miał 35 lat. (M. Liśkiewicz, *Heródek Lipnicki, Karol Wójciak 1892–1969*)

Moja respondentka również niewiele mówiła o jego pochodzeniu. Podczas wywiadu dowiedziałam się jedynie: *Ón tu, ón stela [stąd] pochodził, od Tomców. Pistoł sie Wójciok. To była rodzina z tom Hankom* (Anna Wójciak, wiemy o niej z wywiadów prowadzonych przez Bożenę Kłobuszowską: „Niestety

o życiu Heródka niewiele można się dowiedzieć od żyjących jeszcze świadków. Najcenniejszym informatorem była Anna Wójciak – kuzynka Heródka, chociaż i ona mało interesowała się życiem swojego <nieudanego krewniaka>, jak określiła go w czasie wywiadu”, B. Kłobuszowska, Karol Wójciak Heródek. Portret ludowego artysty. Polska Sztuka Ludowa 1972, nr 4)

Jedno jest pewne, małolipniczanie widzieli w nim swojego, wesołego rodaka: Ón był stary, Ej, ón wesoły. Ón sie nie przejmował. Ón tymi skrzypeckami se groł i cieszył sie. My wiedzieli, jaki jest, tak... Na syćkie świnynta tyz mu grób ubiyrajo.

Dla głębszego poznania postaci Karola Wójciaka Heródka odsyłam czytelników do wydanej w 2019 r. publikacji *Heródek – nowy mit*, wydanej pod redakcją Mai Spychaj-Kubackiej wydanej przez Stowarzyszenie Rozwoju Orawy.

Xymena Smreczak





Diablak

Lipnica Muśka

*Krzyż wotywny
św. Józefa*

Jabłonka

W 2021 r. z powodu pandemii wywołanej wirusem SARS-CoV-2 cały świat został objęty licznymi ograniczeniami. Pandemia wpłynęła na zmianę sposobu pracy i nauki, a także na życie rodzinne i życie religijne. To był trudny czas dla wszystkich. Przewidywana przez specjalistów możliwość wzrostu zachorowań spowodowała izolację. By choroba się nie rozprzestrzeniała, należało zostać w domu, nie można się było spotykać w większym gronie, wiernym ograniczono dostęp do kościoła.

W dawnych czasach, kiedy panowały zarazy i pojawiały się nieznane choroby, ludzie modlili się o ocalenie, stawiali kapliczki i krzyże, które były darem wdzięczności za odzyskane zdrowie, ocalenie od śmierci, a także znakiem nadziei prowadzącej do ulgi i pociechy w ludzkim utrapieniu.

Tak stało się i teraz w Lipnicy Małej, podczas panującej epidemii koronawirusa. Mimo zakazu gromadzenia się wiernych w kościele, w kaplicy św. Józefa na Wojtyczkowie została odprawiona msza



Kaplica wybudowana w 1900 roku

św., podczas której cała parafia i miejscowość zostały zawiezione opiece św. Józefa, patrona w wielu potrzebach.

Jeśli spojrzeć na liczbę zgonów, w tym spowodowanych przez wirus, to św. Józef ochronił mieszkańców Lipnicy Małej. W Księgach parafialnych w 2021 r. odnotowano najmniejszą liczbę zgonów w porównaniu z poprzednimi latami, a tylko w kilku przypadkach, jako przyczynę śmierci podano koronawirus. Zgonów w podanym roku było 28. W 2018 r. – 33, w 2019 r. odbyło się 30 pogrzebów, w 2020 r. miało miejsce 37 zgonów, a w 2022 r. było 35 pochówków. Jako dowód wdzięczności i podziękowanie za ocalenie, z inicjatywy proboszcza parafii św. Stefana ks. Piotra Grotowskiego, mieszkańcy ofiarowali krzyż wotywny za opiekę św. Józefa w czasie epidemii. Nieprzypadkowo wybrano tego świętego, gdyż papież Franciszek ogłosił rok 2021 „Rokiem Świętego Józefa” – patrona Kościoła oraz opiekuna Jezusa. Papież pisał o św. Józefie: „Cieśla z Nazaretu, który potrafi przekształcić problem w szansę, pokładając zawsze ufność w Opatrz-



Ołtarz przedsoborowy
w kaplicy św. Józefa

ności. Każdy potrzebujący, biedny, cierpiący, umierający, chory jest dzieckiem, nad którym czuwa św. Józef”.

W sobotę, 2 października 2021 r. o godz. 12.00, mimo panujących jeszcze obostrzeń i zakazu gromadzenia się w większych grupach, parafianie zebrali się nieopodal cmentarza cholerycznego na Pakosowie, aby wziąć udział w uroczystej procesji i modlitwie dziękczynnej. *Wierchową Drogą* przez pola i ścieżki lipnickie, do kaplicy św. Józefa u *Wojtyczków* krzyż nieśli przede wszystkim mężczyźni z parafii, którzy na chrzcie otrzymali imię Józef. Procesji krzyża towarzyszył śpiew i modlitwa prowadzone przez Domowy Kościół. Krzyż został poświęcony i postawiony obok kaplicy św. Józefa, a tuż po tym wydarzeniu odprawiono uroczystą mszę świętą.

Wotywny krzyż wykonali panowie Stanisław i Dariusz Smreczak. Widnieje na nim napis: „Rok Św. Józefa 2021 wotum wdzięczności za opiekę w czasie epidemii.”

Ważną postacią związaną z kaplicą św. Józefa jest śp. ks. Józef Wojtyczek, lipniczanin urodzony 18 grudnia 1861 roku. Teologię studiował w Spiskiej Kapitulie, gdzie przyjął święcenia kapłańskie 30 czerwca 1884 roku. Był wikariuszem w Słowackiej Wsi (Slovenská Ves), Markuszowcach (Markušovce) i Namiestowie (Námestovo). W 1893 r. został proboszczem w parafii Zakamienny Klin (Zákamenné), gdzie przepracował 28 lat. W późniejszym okresie był inspektorem szkolnym, doradcą przy Stolicy Apostolskiej, dziekanem środkowoorawskiego dekanatu, honorowym kanonikiem oraz sę-



Krzyż epidemiczny św. Józefa

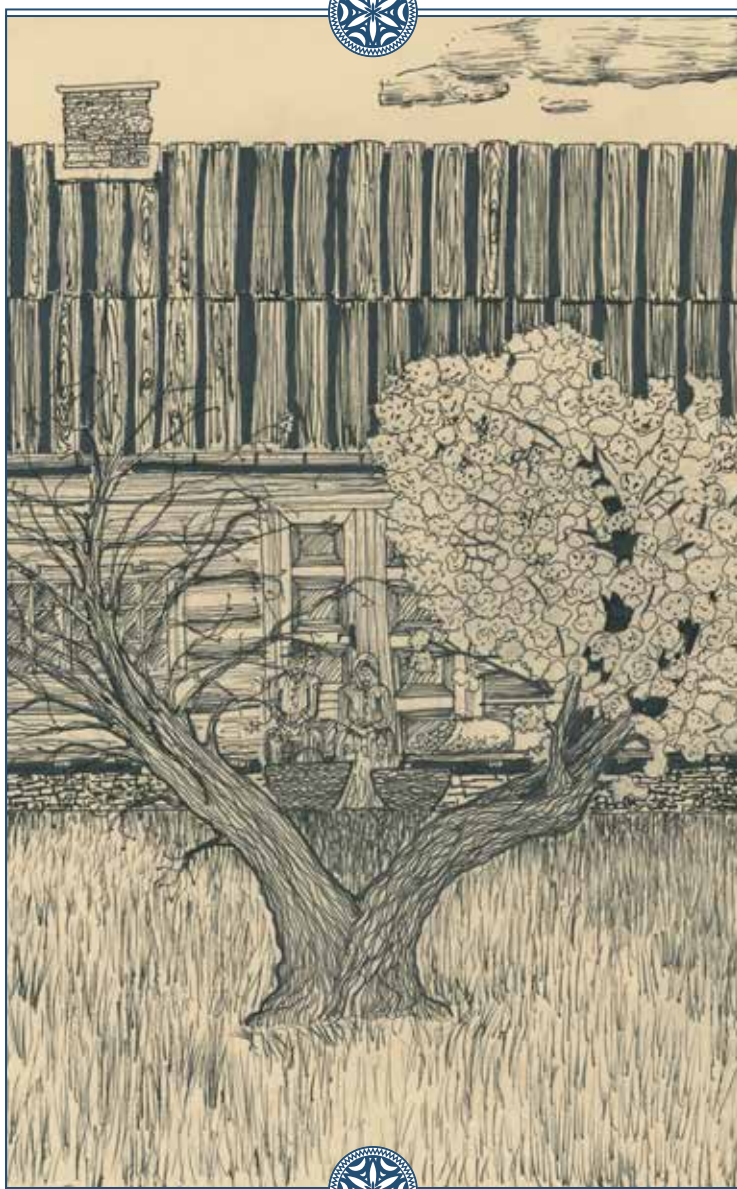
dzią prosynodalnym. W 1921 r. biskup Jan Vojtassak (Ján Vojtaššák) mianował go wikariuszem generalnym oraz rektorem Seminarium w Spiskiej Kapitulie. Ks. Józef Wojtyczek nigdy nie zapomniiał o swojej rodzinnej miejscowości. Ufundował w niej wspomnianą kapliczkę ku czci św. Józefa, a część swojego majątku pozostawił na wybudowanie plebanii,

w parafii św. Stefana. Zmarł 16 kwietnia 1931 roku. Został pochowany na cmentarzu w Zakamiennym Klinie (Zákamenné).

Lipnicki krzyż wotywny stał się symbolem nadziei i ostatecznym tryumfem miłości do Boga nad wszelkim złem tego świata. Łączy go jedno – imię Józef, ponieważ został ofiarowany w roku św. Józefa, ustawiony obok kaplicy św. Józefa, którą ufundował rodak małopolnicki ks. Józef Wojtyczek, a w procesji dziękczynnej nieśli go mężczyźni z Lipnicy Małej mający imię Józef.

Agnieszka Kobroń







Diablak

Lipnica Mułowa

Jabłonka

Historia ręki Chrystusa na krzyżu

Ta historia ma swój początek w czasach, gdy wielu Oravian pracowało w Czechosłowacji. Zaczęła się ona od spotkania Karola Ogórka z Panem Jezusem w Ostrawie, na złomowisku. A dokładnie w chwili, gdy mężczyzna zauważył żeliwną rękę wystającą ze sterty żelastwa. Ogórek jest mieszkańcem Zakamionka, czyli przysiółka należącego do Zubrzycy Górnej, dziś bezpośrednio połączonego drogą z Lipnicą Małą. Tu, w jego domu, za którym zaczyna się las, sięgający górnych stoków Babiej Góry, przez trzy dekady wisiała żeliwna figura Chrystusa, którą kiedyś uratował od zniszczenia.

Był rok 1987. Pracował wtedy w Ostrawie, w firmie zajmującej się robotami drogowymi. – Miałem jeszcze pięć lat do emerytury – wspomina. – Któregoś dnia po szychcie okazało się, że zostało trochę żelaza do sprzedania. Majster pozwolił nam pojechać do punktu skupu złomu. W kancelarii nie zastaliśmy nikogo, więc postanowiliśmy podejść na złomowisko. W wielkim kontenerze, w którym umieszczano metale do przetopienia, Karol Ogórek dostrzegł wystającą rękę. – Ręka jak żywa –



*Obraz św. Stefana ze
starego kościoła i krzyż
żeliwny*

przez chwilę się zastanawiał. – Czy to nie dziecko? Wszedł na złom złożony w kontenerze, przerzucił żelastwo. Odsłoniła się metrowej wielkości figura Chrystusa, kiedyś zapewne wiążąca na krzyżu. Ogórek odłożył ją, ale nie dawało mu spokoju, że „Pan Jezus w takich śmieciach”, że można go tak wyrzucić, zapomnieć. Dzisiaj mówi: – Nie miałem odwagi, żeby to tak zostawić. Wahał się. W końcu zagadał do prowadzącego skup złomu: – Macie tam taką ciekawą rzecz. Czy można by to wymienić za to nasze żelazo? My zabierzemy figurę Pana Jezusa, a wy sobie odliczycie od ceny złomu. – O nie, żadne takie – padła odpowiedź. – Jeśli wam pasuje, to bierzcie tego Pana Jezusa. – Musiało go chyba ruszyć sumienie – mówi dziś Karol Ogórek. – Za śrut wypłacił nam normalnie pieniądze.

Karol Ogórek figurę Chrystusa owiniętą w materiał wioził tramwajem przez pół Ostrawy. Czasy stalinizmu dawno minęły, ale komunistyczna Czechosłowacja była ciągle państwem nieprzyjaznym Kościołowi Katolickiemu. Do niedawna księży wyświęcano tu w tajemnicy. Gdyby ktoś w tramwaju zaczął pytać o figurę, mogłoby się to skończyć nieprzyjemnościami. Ogórek umieścił figurę w hotelu robotniczym. Przechowywał ją tam przez trzy miesiące. W końcu trzeba było podjąć największe ryzyko, czyli przetransportować figurę do Polski.

– Wtedy świętych rzeczy nie wolno było przewozić przez granicę. Wszystko dokładnie sprawdzali – opowiada. W każdy piątek czechosłowacki autobus przywoził z Ostrawy polskich pracowników na weekend do domu. – Opowiedziałem

o figurze kierowcy, który nas woził. Obiecał, że nad tym się zastanowi – mówi Karol Ogórek.

Aż w końcu, któregoś dnia przed wyjazdem, powiedział: – „Jeśli macie tę figurę, możemy spróbować dzisiaj”. Przygotował miejsce w zamykanej skrzyni na narzędzia za swoim siedzeniem. Pogranicznicy zaglądali tam rzadko, więc włożyli do niej Pana Jezusa. Ale kierowca postawił warunek: gdyby na granicy celnicy odkryli figurę, Karol Ogórek miał się przyznać, że ona należy do niego.

Do Polski wjeżdżali w Chyżnem. Ogórek siedział na miejscu pasażera. – Kierowca mówił mi, żebym był spokojny – wspomina. – Ale ciekawiło mnie, czy będą patrzeć na skrzynię. Na szczęście trafiło się, że nie było kłopotu. Gdy autobus ruszył po kontroli, poczułem ulgę.

Po dotarciu na Kralówkę w Lipnicy, ostatni kilometr do Zakamionka Karol Ogórek pokonał z figurą pieszo. Była ona owinięta w worek, w szmaty. – „Podniszczony, farba odpryskiwała” – tak zapamiętano w domu przyniesionego Pana Jezusa. Postanowiono o figurę zadbać. Malarz z Podwilka ją odświeżył, ktoś z Lipnicy dorobił krzyż. Od tej pory przez prawie trzydzieści lat wisiała w domu Karola na Zakamionku. Modlono się do niej, była najważniejszym elementem wnętrza. Lecz do dziś niewiele o niej wiadomo. Skąd pochodzi, ile ma lat? Czy jest fragmentem przydrożnego krzyża? Elementem wystroju kaplicy? Pewne jest jedno: wykonano ją starannie z ręcznie przygotowanego odlewu. Od dwóch lat wisi już



Poświęcenie kaplicy 29.02.2020

w nowej kaplicy, przy domu parafialnym w Lipnicy Małej. – Cieszymy się, że się tam znalazła – mówi 88-letni dziś Karol Ogórek. Od dawna był bowiem na emeryturze, ale wciąż się zastanawiał, co się z nią stanie kiedyś, kiedy go już nie będzie.

– Dużo o tym myślałem. Rozmawialiśmy na ten temat w rodzinie. Był pomysł, żeby ją wziąć ze sobą na cmentarz. Ale to niemożliwe, z takim wielkim krzyżem... – dodał.

Marcin Żyła







Diablak

Lipnica Mała

Jabłonka

Ostatni młyn
na roli Janowej

Niegdyś młyn był szczególnie ważnym punktem we wsi, bo służył całej społeczności. Jego podstawową funkcją było mielenie ziarna na mąkę, kaszę, krupy itp. Do młyna schodziło się wielu ludzi, był więc miejscem spotkań oraz przeróżnych wydarzeń. Dodatkowo, w okresie poprzedzającym elektryfikację wsi, opisywany młyn posiadał specjalny generator do wytwarzania energii elektrycznej, który zamontował Józef Hola. Dzisiaj może jeszcze nasi rodzice albo już tylko dziadkowie pamiętają, gdzie na Orawie stały młyny.

Lipnica Mała jeszcze w XX w. posiadała kilka młynów. O jednym z nich udało mi się usłyszeć podczas spotkania z panią Ireną Holą z d. Zajęc. Pani Irena wraz z mężem Józefem byli ostatnimi właścicielami młyna *na Jędrygówce* w roli *Janowej*. Pochodziła ze środkowej części Lipnicy Małej – *od Zajęców*. W wieku 18 lat wyszła za Józefa Holę. Na początku wraz z mężem zamieszkała u jego rodziców, czyli swoich teściów na roli *Jurowej* u *Karkoszków*, od których wyprowadzili się półtora roku później.



Mężczyźni przed młynem pod koniec lat 30. (od lewej: Franciszek Kubacki, Celestyn Dudziak, Jan Cieluch)

Zamieszkali w ostatnim młynie na roli *Janowej*. W tym czasie on nie działał z powodu zerwania tamy na rzece.

Młyn zasilala woda, która płynęła tzw. młynówką. Z głównego biegu rzeki wodę kierowano do młynówki dzięki specjalnej tamie, która ją spiętrzała. Tama znajdowała się w pobliżu *Dudziokowskiego Brzyzku* na roli *Hujasowej*. Pani Irena tak opisuje jej lokalizację: (...) *nizy Krziza wiys, gdzie jes tyn Pon Jezus na tym smreku, jako jes tyn potok, (...) w tym gonscu, niy, idzie taki potok za Wołosinym....*

Zerwanie tamy uniemożliwiło dalsze działanie młyna. Stało się to wtedy, kiedy młynem zarządzał Wendelin Hola (ojciec Józefa). Naprawa tamy wymagała czasu i wiązała się z poniesieniem niemałych nakładów finansowych. Ponowne uruchomienie młyna odwlekało się w czasie. Do odbudowy *jazu* wynajęto specjalny sprzęt do wbijania *kulików* z *Zubrzycy*. Tamę uszczelniono wikliną i wzmocniono krótkimi *dylami*,



Kamienie młyńskie pozostałe po młynie (2023)

zasypując wszystko żwirem i kamieniami. Po naprawie tamy przez dłuższy czas młyn ponownie działał.

Budynek młyna składał się z dwóch części: izby oraz młynicy. W izbie znajdował się kamienny piec, na którym „mogło się przespać 4–6 chłopów” – mówiła pani Irena. Natomiast w młynicy znajdował się mechanizm młyna. Budynek był połączony z niewielkimi stodołami: *stajnią* oraz *boiskiem*. Aby dostosować budynek do potrzeb mieszkalnych, pojedynczą izbę przedzielono na dwie mniejsze. Ściany od środka otynkowano, a klepisko zastąpiono *forztami*.

Teść pani Ireny, Wendelin był pierwszym młynarzem z rodziny Holów. Dzięki zaoszczędzonym pieniądząom i sprzedaniu pola na *Jankowie* odkupił młyn od poprzednich właścicieli. Miało to miejsce jeszcze przed wybuchem wojny. Wcześniej młyn był współwłasnością siedemnastu gazdów. Zanim nabył go Hola, młynarzem był niejaki Habina. Przez około pięć lat dzierżawił młyn od małolipnickich gazdów. Był to człowiek bardzo *łopatery*. Obok młyna wybudował dom, który później rozebrał i przewiózł na inne miejsce.

Jedna z najstarszych historii o młynie, jaką opowiedziała mi pani Irena, dotyczyła pożaru. Kobieta nie była jego świadkiem, ale słyszała o nim z opowiadań swojej teściowej. Mówiła, że jeszcze zanim Habina tutaj przybył, *izba* mieszkalna wraz z górną częścią młyna spaliły się. Przetrwała tylko część wyposażenia wraz z kamieniami młyńskimi. Do wybuchu pożaru przyczyniło się pędzenie bimbrowa w budynku młyna.

Kolejne zerwanie tamy spiętrzającej wodę na Syhlcu w latach 60–70 XX w. przyczyniło się do zakończenia działalności młyna. Pani Irena tak wspomina te wydarzenia: *Widzieliśmy, że niesie, Józek wiedział, ale ja nie była pewno. Ba sie mi zdało, że może niesie selicó, może jakie ławki, lebo có, ba... Cłowiek był młody no, ale kieć widziała tok rzewnie płakała... Kielo my sie narobiyli. Bo to syćko zaplałoł prynciami, nojwiyncy prynciami, no dzież były pryncie, có my wycinali... Nojwiyncy prynciami, selicym takiym, cóby było miynkie, a miyndzy to sie wsuwało, ale były i dyle. Takie dyle krótkawe, cóby miyndzy nasuć: żwiru, skoli... Nale có z tego, kie to ozerwało i pošlo. Wżyna woda i Józek pedzioł, że wiyncy robiół nie be. Pedzioł, że nicego by sie nie dorobiół. To telo kostowało...*

Młyn przestał spełniać swoją funkcję, a z czasem także i przyległe izby mieszkalne, w których mieszkała rodzina pani Ireny przed wybudowaniem nowego domu. Nieużytkowany obiekt stopniowo popadał w ruinę. Drewniany dach zaczynał przeciekać, aż w końcu, z początkiem XXI w. został ostatecznie rozebrany. Rozbiórka młyna była bardzo smutnym wydarzeniem dla pani Ireny. Zakończył się pewien rozdział historii jej rodziny. Zachowano kamienie młyńskie, zakupione przez jej teścia, bo według opowieści pani Holowej: *była bardzo dobro monka spod nik* (kamieni młyńskich).



Mateusz Ślamiczyk





*Paradne suknie
Gondkule*

Jablonka

Tę historię opowiadało się od pokoleń u *Menteli*. Mnie opowiedziała ją babka Róża, ale jak sama wspominała, zna ją dzięki swojemu ojcu Frankowi Buremu. Czy te wydarzenia miały miejsce za jego życia, czy może mu dziadkowie to opowiadali? Czy znał osobiście bohaterkę tej historii, a może to po prostu *bojka*? Nie wiadomo, ale ludzie to tak opowiadali, jakby się wydarzyło naprawdę. No, bo skąd by wiedzieli, że to akurat działo się *na Gondkówce*?

Tam u *Gondków* pod lasem w jednym domu mieszkała *jakosik baba*. Chyba mieszkała sama, ale czy była wdową, czy panną, tego nie wiadomo. Mówili o niej, że niby taka pobożna, ale *robić się* jej nie chciało. No i któregoś dnia tak powiedziała: *Jo sie juz za swego zycio doś narobiyla. Teros sie bedym ino modlić!* Jak powiedziała, tak zrobiła. Całe dni przesiadywała w domu. Nikt nie widział, żeby wychodziła, żeby coś w polu robiła. Ludzie, którzy przechodzili tamtędy i do niej *kukali* przez okno, widzieli, że siedziała *wyubiyrano w paradne suknie*. Modliła się i czekała, aż *przydo i je wezno* na drugi świat. Dzień za dniem mijał, a ona nic nie robiła, tylko *het paciorki i paciorki*.



Ścieżka i chodnik na Gondkówce



Skalista ulica Za Górą

No, ale przecież trzeba wiedzieć, kiedy jest czas na modlitwę, a kiedy *na robotę*. Nic nie robić, to przecież też jest grzech.

Pewnej nocy *ćóśik* do okna zapukało i wywołało ją *do pola*. Pewnie myślała, że w końcu przyszedł *janieli*, żeby ją pochwalić za to, że się tak dużo modliła, i że na pewno ją w tych *paradnych sukniak* od razu do nieba wezmą. No i w końcu

wyszła taka *wyparadzono* z tej *chałupy*. Tam na nią czekało dwóch *panosków*. Wzięli ją *pod pazuche* i zaczęli prowadzić.

Wodzili ją po największych *skolak*, *chraściak* i *kamiyniak*. Suknie *zacyny sie targać* i już nie były takie *paradne*. Baba przestała się modlić, a zaczęła im *kląć* i krzyczeć. Te *panoski*, to musiały być diabły, bo jak ona tak *klęła*, to *óni sie ku temu radowali* i nawet ją



Schodzące się do klina ulice między Gondkówką a Za Górą (fot. Adrian Jarosz)

namawiali, żeby jeszcze głośniej słowem grzeszyła: *Tak se gworz! Tak se gworz! Jesce głośni!* Im głośniej krzyczała i przeklinała, tym łagodniej ją prowadzili. Kiedy im *klyna*, to ją *wiedli* po prostej drodze i suknie miała *paradne*. Kiedy się jej wygodnie maszerowało, znów się modliła. Ci *panoskowie* nie mogli słuchać jej modlitw, więc jeszcze raz wyprowadzili ją na skały, by się jej suknie *targały*.

Gdzie ją zaprowadzili, nie wiadomo. Czy ona potem przestała się ubierać w te *paradne suknie* i *wziyna sie do roboty*? Tego dziadkowie nie opowiadali. Może to tylko takie strachy były, ale babka mówiła, że tatuś Franek zawsze jej opowiadał, że *tako baba, co ji sie robić nie kciało, bywała u Gondków*.



Widok na Gondkówkę sprzed domu Heleny Ferenc (ok. 1950 r.)

Adrian Jarosz





Wesele, wesele...
orawskie

Jablonka

Kiedyś wesela wyglądały zupełnie inaczej niż współcześnie, w szczególności te nasze orawskie. Cofnijmy się w czasie, do lat 60. XX wieku. Niektórzy będą mogli wspominać lata swojej młodości, a inni poznać realia życia swoich rodziców i dziadków. Wesele było wyjątkowym wydarzeniem w każdej rodzinie. Z tym dniem związanych jest wiele tradycji i zwyczajów, które niestety w większości zanikły w XXI wieku.

Dzień wesela zaczynał się od ważnego zadania drużbów, którzy szli zapraszać na wesele sąsiadów i rodzinę. Oczywiście goście wcześniej zostali zaproszeni, ale ich zadaniem było namawianie do szybkiego zakończenia prac domowych i szykowania się na świętowanie. Drużbowie podczas wykonywania tego ważnego zadania często mieli ze sobą mocniejsze trunki, którymi częstowali zaproszonych gości. W ten sposób



Wesele orawskie



Wesele orawskie

wszyscy byli w nastroju, jaki powinien towarzyszyć gościom weselnym. Zapraszano ich na poczęstunek, który odbywał się jeszcze przed ślubem zarówno w domu u Pana Młodego, jak i u Pani Młodej. Weselników częstowano *zawijańcami* i ciastami drożdżowymi. Gdy zbliżała się pora zaślubin, Pan Młody wraz ze swoimi gośćmi przejeżdżali do domu Pani Młodej. On

jechał na pierwszym wozie, który ciągnęły pięknie przybrane konie, a na kolejnych jechali goście weselni, radośnie śpiewając i grając na instrumentach, najczęściej na akordeonie.

Gdy Pan Młody dotarł do domu swojej wybranki, niemożliwe wręcz było, aby to ona go przywitała. Zazwyczaj na pierwsze spotkanie wychodziła fałszywa narzeczona, często była to ciotka lub sąsiadka, a czasami nawet wujkowie przebierali się



Wesele orawskie

za młoduchę, która starała się namówić młodego na ślub. Bywało, że na jednej takiej próbie się nie skończyło. Cała ta zabawa przebiegała w radosnej atmosferze. Gdy narzeczony przetrwał próby po-



Wesele orawskie

kus, jego oczom ukazywała się w końcu narzeczona. Drogę do kościoła przyszli nowożeńcy odbywali na osobnych wozach, a za nimi jechali radośni goście weselni. Wtedy również mogli im się przydarzyć różne przygody.

Osoba wspominająca dawne wesela opowiadała, że kiedy jechali do kościoła, zdarzył się wypadek. Jeden z woźniców dla żartów zaczął wyprzedzać i tym sposobem wóz z Młodą Panią wpadł do rowu. Jej sukienka nabrała różnych barw w związku z twardym lądowaniem, a fryzurę dodatkowo ozdobiły gałązki i liście. Gorzej było z tortem, który według tradycji przygotowano dla księdza, bo wylądował w lesie. Na szczęście nikomu nic się nie stało, tylko tortu nie uratowano. Szybko ogarnięto Młodą Panią, miłość zwyciężyła przeciwności losu i ślub się odbył bez zmian.

Po ślubie nowożeńcy jechali już razem. Najpierw udali się do domu, z którego ktoś się wyprowadzał. Tam był przy-

gotowany obiad, poczęstunek i zabawa. Ciekawe jest to, że w tamtych czasach dzieci nie brały udziału w weselach. Jeśli im dopisało szczęście, to gospodarze poczęstowali



Wesele orawskie

je jakimiś słodkościami. Oczywiście na stołach było skromniej niż współcześnie, ale nikomu to nie przeszkadzało. Późnym popołudniem, a czasem już wieczorem, około godziny 18.00 następował przejazd Młodej Pary oraz gości weselnych do drugiego domostwa, w którym od teraz nowożeńcy mieli zamieszkać i budować wspólną przyszłość. Godzina ta nie była przypadkowa, gdyż w tamtych czasach większość ludzi miała gospodarstwa, więc korzystając z delikatnego zamieszania z przejazdem, mogli się wymknąć, aby wykonać niezbędne prace w obejściu.

W drugim domostwie również ludzie się gościli, a zabawa w zależności od dostępnego miejsca, często odbywała się w *boisku* u sąsiada i trwała do późna. Muzyka na żywo zachęcała do tańców nie tylko weselników, ale i młodzież z danej miejscowości. Muzykanci chętnie nawilżali gardła alkoholem, co nie pozostało bez wpływu na jakość muzykowania w końcowych godzinach zabawy. Oczywiście, jak to na

weselach, mocniejsze trunki często sprawiały, że mężczyźni nie potrafili utrzymać emocji na wodzy, więc dochodziło do weselnych bójek. Były to pojedyncze incydenty, ale czasem pojawiały się całkiem poważne sytuacje. Zdarzało się, że bójki mogły się przerodzić w prawdziwą walkę.

W znanej mi opowieści powodem bójki była zazdrość. Wyobraźcie sobie, że pewna panna z Lipnicy Małej wybrała sobie na męża *wielkolipnicana*. Jej wybór nie spodobał się kawalerowi z sąsiedztwa, któremu dziewczyna wpadła w oko. Małżeństwo z nią przyniosłoby wiele korzyści, bo wiadomo „pole koło pola”, a w dodatku młoda, piękna dziewczyna, czego chcieć więcej. A poza tym, dlaczego *wielkolipnicon* ma się panoszyć w Lipnicy Małej. Nie dawało to spokoju wspomnianemu kawalerowi, więc chodził i tyle przekonywał, że w końcu znalazło się kilku młodych mężczyzn, którzy uznali, że muszą zrobić z tym porządek. I tak poszli na wesele z zamiarem pokazania sąsiadom zza *Wierchowej Drogi*, gdzie ich miejsce.

Prowokacji było wiele, aż w końcu zaczęła się bójka, rozwój sytuacji był tak poważny, że w ruch poszły róż-



Wesele orawskie

ne narzędzia gospodarcze, a nowożeńcy byli zmuszeni uciekać, by nie doszło do tragedii. Udał się do Zubrzy, gdzie schronili się



Wesele orawskie

u rodziny. W końcu walki ustały, jednak wesele bez pary młodej zaczęło się rozchodzić. Goście z Lipnicy Wielkiej pieszo ruszyli w stronę swojej wsi. Jak się później okazało, dzięki temu nie doszło do jeszcze większej tragedii.

Nad ranem mężczyźni wracający z pracy autobusem – po wcześniejszych namowach zazdrosnego kolegi – wysiedli wszyscy w okolicy tego wesela. Wyposażeni w narzędzia *do bitki* ruszyli w stronę domostw, jednak *wielkolipnicanie* byli już zbyt daleko, aby udało się ich dogonić. Skutki tych zdarzeń odczuwano jeszcze długo po weselu, gdyż było kilku rannych, a szkody w domostwie pary młodej okazały się bardzo duże. W tamtych czasach takie incydenty zdarzały się tak często, że ludzie mieli swoje przysłowie, *Wesele bez bijatyki, to nie wesele*.

Przy okazji wesela warto również wspomnieć o posagu i prezentach. Tradycyjnym posagiem dla kobiety był zestaw poduszek i kołdra do spania, a dla mężczyzny piękna, duża,

drewniana szafa. To młodzi otrzymywali z domu, od rodziców. Prezenty od gości zdecydowanie różniły się od tych, które przynosi się współcześnie. Takimi prezentami weselnymi często był kosz z pączkami albo *zawijańcami*, butelka domowego wina, ozdobne pieczone babki i ciasta, a czasem, jeśli ktoś miał bogatszych krewnych lub mieli oni dostęp do zagranicznych towarów, można było dostać zestaw szklanek, pościel lub zastawę stołową.

Od tamtych czasów minęło 60 lat. Sposób weselenia się z założenia nowej rodziny wśród naszych bliskich zmienił się, ale czy na lepsze? Każdy może sam sobie odpowiedzieć na to pytanie. Cieszy jednak fakt, że duchowy charakter zakładania rodziny się nie zmienia, a młodzi ludzie z naszej parafii nadal decydują się na budowanie rodziny w komunii z Bogiem, a ślub jest tego początkiem.

Agata Białoń





Diablak

Lipnica Muła

Kapliczka Bożej Męki u Karkoszków

Jabłonka

Kapliczka Bożej Męki u Karkoszków

Jest to opowieść o miejscu, do którego dotrzemy, idąc zielonym szlakiem, wiodącym od Jabłonki w stronę Babiej Góry. Dawniej była to bardzo ważna droga, łącząca dwie wsie. Korzystali z niej mieszkańcy Lipnicy Małej, którzy szli do kościoła parafialnego w Lipnicy Wielkiej. Dziś, gdy idzie się tą – trochę zapomnianą – drogą, można zatrzymać się przy kapliczce Bożej Męki. Tu rozpoczyna się opowieść, która wyjaśnia jej pochodzenie. Jednak dzieje tego miejsca zaczynają się dużo wcześniej, zanim postawiono tu kapliczkę.

Z ustnych przekazów wiadomo, że ta historia sięga 1910 roku. Głównym bohaterem związanym od początku z historią kapliczki jest Seweryn Karkoszka, urodzony 22 maja 1897 r., który mieszkał u Karkoszków w Lipnicy Małej. Ten młody człowiek bardzo chętnie czytał książki. Często widywano go w niedzielne popołudnia w miejscu, gdzie dzisiaj znajduje się kapliczka. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie książka, którą posiadał Seweryn. Mówiono, że jest to Czarna Księga. Najprawdopodobniej pochodziła z Węgier i była napisana po węgiersku, a przywiózł mu ją ojciec Karol Karkoszka, który tam pracował.

Mieszkańcy dolnej części Lipnicy Małej idąc na niedziel-



Feliks Michalak

na mszę św. do kościoła w Lipnicy Wielkiej, mogli wielokrotnie spotkać młodzieńca na swojej drodze. Stąd też wiadomo, że Seweryn czytał ją bardzo chętnie, zwłaszcza w niedzielę. Mieszkańcy często komentowali tę sytuację tak: „Zamiast iść do kościoła, *leży i cyto ksionżkę*”.



Po okresie wnikliwego studiowania przez Seweryna tej książki, z młodzieńcem zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Mówiono nawet, że go coś opętało. On sam opowiadał o zjawiskach, które podobno widział, np. diabły spadające z drzewa. W końcu ogarnął go paniczny lęk, więc zdecydował się na wizytę u księdza proboszcza. Po rozeznaniu sytuacji ksiądz poprosił go o zrezygnowanie z dalszego czytania tej książki i spalenie jej. Mężczyzna wykonał polecenie. Dodatkowo, zakupił krzyż i udał się do stolarza Franciszka Brzegowego, którego poprosił o zrobienie kapliczki. Seweryn umieścił w niej krzyż, a następnie zawiesił ją na drzewie, pod którym czytał wspomnianą książkę. W 1946 r. Seweryn Karoszka wyjechał z rodziną na Słowację, zostawiając ojcowiznę.

Jednak na tym historia kapliczki się nie kończy, gdyż ok. 1945 r. dwóch mieszkańców Lipnicy Małej, Karol Stec i Jan Karoszka ścięli drzewo, na którym Seweryn powiesił kapliczkę, ale zanim to zrobili, przenieśli ją na inne drzewo, znajdujące się w pobliżu. Niestety, ci mężczyźni zmarli krótko po tym.

Kapliczka Bożej Męki u Karkoszków

Wszyscy, znający wcześniejsze wydarzenia, byli przekonani, że to nie przypadek. Od 1945 r. kapliczka zdobiła piękne, duże drzewo do około 1990 roku.

Przez lata kapliczka ulegała niszczeniu. Zastąpiono ją nową, którą wykonał Eugeniusz Karkoszka. Mimo że pojawiła się nowa kapliczka, krzyż znajdujący się w jej środku, był oryginalny z tej pierwszej. W 2012 r. drzewo zostało ścięte, a kapliczkę powieszono znów na innym. Niestety drzewo uschło, więc kolejny raz kapliczka zmieniła lokalizację. Została umieszczona na najbliższym drzewie, a dodatkowo w 2012 r. pan Józef Brzegowy stworzył obok nową, piękną, murowaną kapliczkę.

Taka jest historia kapliczki Bożej Męki przekazywana ustnie przez mieszkańców Lipnicy. Niech kolejne pokolenia lipniczan piszą dalsze losy tego miejsca i innych, ciekawych obiektów w naszej okolicy. Żeby to jednak było możliwe, trzeba już dziś więcej rozmawiać, a co ważniejsze – słuchać. Te wszystkie

wydarzenia zostały spisane na podstawie ustnego przekazu Feliksa Michalaka, zmarłego w 2022 r., który dbał o estetykę i porządek wokół kapliczki.

Mariola Pena



Kapliczka z krzyżem





Śmierć Węgra na lipnickiej ziemi

Jabłonka

Historia to pamięć. Na przeszłość Lipnicy Małej składają się historie poszczególnych rodzin, ich wspomnienia i przeżycia. Jedna z nich opowiada losy Josefa Nemetha, węgierskiego żołnierza z czasów II wojny światowej. Opowiada ją Teodor Lichosyt (84 lata), który jako mały chłopiec widział całe zdarzenie i moment zabicia Josefa.

Teodor Lichosyt, mieszkaniec Lipnicy Małej urodził się 28 marca 1939 r. jako najmłodszy z pięciorga rodzeństwa. Jest synem Alojzego Lichosyta (żołnierza I wojny światowej, w której został postrzelony) oraz Albiny Lichosyt z d. Bury. Rodzina mieszkała na *Siedminowie* koło kościoła, obecnie żyje tam Teodor. W czasie II wojny światowej w 1944 r. wraz z matką i rodzeństwem zostali wysiedleni do Orawki, a ojciec został w Lipnicy Małej na gospodarstwie, by pilnować dobytku przed grabieżą i doglądać bydła. W Orawce mieszkali około pół roku u rodziny Kwiatkowskich, po czym wrócili do domu w Lipnicy. Teodor, gdy był chłopcem, został oddany na służbę: w 1948 r. u rodziny Zachorów w Jabłonce spędził rok, a w wieku 13 lat u rodziny Obertaczów w Koniówce – około trzech miesięcy. W wojsku nie służył, gdyż musiał się opiekować schorowanymi rodzicami. W 1963 r. wziął ślub z Małgorzatą z d. Wierzbak.

– Pamiętam ten dzień dokładnie – mówi Teodor Lichosyt. – Miałem wtedy sześć lat, była zima, a moją ulicą (*Siedminową* koło kościoła) przechodzili trzej młodzi żołnierze węgierscy. Szli od domu do domu w poszukiwaniu jedzenia.



MAGYARORSZÁG FŐKONSZULÁTUSA, KRAKKÓ
KONSZULÁT GENERALNY WĘGIER W KRAKOWIE

Kraków, 27 października 2021r.

Ksiądz Piotr Grotowski
Proboszcz Parafii pw. Św. Stefana
Lipnica Mała

Człegodny Księża Proboszcz,

Uprzejmie informuję, że w uznaniu zasług za opiekę nad grobem Józsefa Németha, węgierskiego żołnierza, który poległ na terenie gminy Lipnica Mała w czasie II wojny światowej, pułkownik Vilmos Kovács, dyrektor Instytutu i Muzeum Wojskowości przekazał na ręce księdza proboszcza ks. Piotra Grotowskiego pamiątkowy medal Ministerstwa Obrony Narodowej Węgier dla parafian z parafii pw. Św. Stefana w Lipnicy Małej.

Nasza polsko-węgierska historia pełna jest dowodów bezinteresownej pomocy, wzajemnej sympatii, przyjaźni i braterstwa oraz wspólnych bohaterów. Jako Konsul Generalny Węgier wyrażam serdeczne słowa podziękowania za zaangażowanie parafian z Lipnicy Małej i pielęgnowanie wspólnego polsko-węgierskiego dziedzictwa. Mam przekonanie, że takie gesty mają głęboki sens, a kolejne miejsca pamięci o naszej wspólnej, czasem trudnej historii, będą przyczyniać się do budowania lepszej teraźniejszości i przyszłości naszych narodów.

Łączę wyrazy szacunku,

z poważaniem,

Dr Tibor Gerencsér
Konsul Generalny Węgier w Krakowie

ul. Łubicz 17H, 31-503 Kraków
telefon: (+48) 12-359-99-20; fax: (+48) 12-359-99-29
e-mail: konsulate.krk@mfa.gov.hu

Dalej Teodor opowiada – te lata były najcięższe i najtrudniejsze. Panowała bieda. Każdy choć uprawiał swój kawałek ziemi, hodował jakieś zwierzę, i tak, aby przetrwać, musiał ukrywać swoje zapasy lub plony przed żołnierzami. Chcąc uchronić swoją rodzinę przed głodem – mówi – wszystko trzeba było chować: ziarno, kawałek

mięsa czy zwierzę. Żołnierze dla siebie zabierali jedzenie, podmieniali konie, czyli brali zdrowe i silne, a zostawiali słabe i schorowane.

Tego dnia – wspomina dalej Teodor – ludzie z obawy przed nimi zamykali drzwi, a oni nie robiąc krzywdy nikomu, podążali dalej w kierunku *Ubocy* (na zachód – kierunek Lipnica Wielka). W tamtym czasie od wschodu przybliżył się front rosyjski i dotarł do naszej wsi. W chwili, gdy żołnierze węgierscy byli już nad domami pod *Ubocą*, jeden z żołnierzy radzieckich ich zauważył. Rosjanin zaczął krzyczeć i oddał strzały. Chyba nie mógł trafić, bo raz kładł się na ziemię, to znów wstawał i celował – widziałem to dobrze z ukrycia



Grób Josefa Nemetha

– opowiada Teodor. W końcu, gdy jedna z kul trafiła Josefa, dwóch pozostałych poddało się, podnosząc ręce w górę.

Ze źródeł wiadomo, że Josef Nemeth był synem Jana i Elżbiety Malkos. Urodził się w 1920 r., pochodził z Węgier, z małej miejscowości niedaleko Budapesztu. Ten młody dwudziestopięcioletni, węgierski żołnierz walczący w armii niemieckiej podczas II wojny światowej, zginął z rąk żołnierzy radzieckich w naszej wsi w 1945 roku.

Z opowiadań ojca i sąsiadów wiem – mówi Teodor, że ocalałych żołnierzy węgierskich Rosjanie zaprowadzili do domu Gwiżdżów, gdzie podobno ich bito. Następnie zostali przeprowadzeni do domu Wojtyczka, w którym przebywał ich dowódca. Tam prawdopodobnie odbył się sąd wojskowy, a potem ich gdzieś wywieziono. Dalsze losy żołnierzy były i są nieznane mieszkańcom wsi.

Zastrzelonego Josefa pochowano w miejscu, gdzie zginął. Przy jego ciele znaleziono dokument (prawdopodobnie książeczkę wojskową) oraz medalik. Te rzeczy zanieśiono do ówczesnego proboszcza ks. Józefa Buronia.

Prośba mojego ojca Alojzego – wspomina Teodor, aby mógł pochować Josefa na swoim polu, w suchym miejscu oraz zbić trumnę z desek, została odrzucona. Otrzymał stanowczą odmowę od żołnierzy radzieckich, więc ciało Josefa bez pochówku przez dwa dni leżało w polu. W tym czasie zabity został ograbiony przez żołnierzy radzieckich lub mieszkańców wsi z ubrań. Po upływie dwóch dni za zgodą Rosjan,

na ich warunkach, mój ojciec wraz z Ferdynandem Pilchem i Franciszkiem Lichosytem wykopali dziurę, wyścielili ją słomą, złożyli ciało do grobu i odprawili modły.

Do dziś grób Josefa Nemetha znajduje się nad domami obok potoku między *Siedminiówką* a *Adamczykówką*. Przez wiele lat o grób i pamięć Josefa dbali pobliscy sąsiedzi. W 2021 r. władze Węgier w podziękowaniu im za opiekę i troskę o mogiłę przyznało pamiątkowy medal, przekazany na ręce ks. proboszcza Piotra Grotowskiego. Medal ten obecnie znajduje się na plebanii, a w najbliższym czasie zostanie umieszczony w gablocie z wotami przy obrazie Matki Bożej Nieustającej Pomocy, w bocznym ołtarzu kościoła parafialnego w Lipnicy Małej.

Agata Bochaczyk





Diablak

Lipnica Mała

Jabłonka

Żydowski piniondz

Przed I wojną światową w Lipnicy Małej mieszkali także Żydzi. Można powiedzieć, że pozostawili tu swój ślad. Gdzie? Na *Salomonówce*. Ten sznur na roli *Żabowej* nazwano tak po ostatnim lipnickim Żydzie, Salomonie. Tam była karczma i *bijalnia*. Co to jest karczma? Nie trzeba nikomu tłumaczyć, a *bijalnią* nazywano żydowską rzeźnię. Podobno była ona bez zadaszenia, gdzieś na łągu, niedaleko potoku.

Małolipniczanie całkiem dobrze dogadywali się z karczmarzami i żyli z nimi w zgodzie, choć nie wszyscy. Pijacy, którzy plątali się po karczmach, bywali to u Salomona, to w Jabłonce, pewnie też doszli do Zubrzycy i nie wiadomo, gdzie tam jeszcze chodzili. Przez pijaństwo narobili sobie długów. Nikt się nie przyznawał, że jest pijakiem. Mówili, że to Żydzi ich rozpijają. Nagonka antysemicka z roku na rok była coraz silniejsza wiązało się to także ze sprawami politycznymi, jakimi zajmowali się wtedy bardziej zaangażowani Orawianie. Toczyły się spory o to, kto jest Polakiem, Słowakiem, a kto Węgrem oraz o to, jak powinna przebiegać granica pomiędzy Polską a Czechosłowacją po upadku Austro-Węgier.



Rodzina Wilhelma i Tekli Zajac (ok. 1930)

Te i pewnie wiele innych czynników skłoniły *dółańów*, aby po swojemu wymierzyć sprawiedliwość... i przy okazji pozbyć się długów. A jak najprościej dłużnikowi spłacić swoje zobowiązania? Pozbyć się wie-



Tekla Zając przed domem
(z serii Dokumentacje 1950–1978)

rzyciela. Pod osłoną nocy *dółańsko* banda wyruszyła w kierunku domu Salomona. Najprawdopodobniej działo się to w listopadzie 1918 r., co można wnioskować po tym, o czym pisało się wtedy w gazetach i pamiętnikach (Orawa wchodziła wtedy jeszcze w skład Austro-Węgier. Echa tych wydarzeń szybko przedostawały się na drugą stronę granicy, na Podhale. Pisano o tych wydarzeniach np. w „Gazecie Podhalańskiej”).

Na przełomie października i listopada na Orawie zaczęto „robić porządki z Żydami”. Nawet ksiądz Ferdynand Machay zapisał w swoim pamiętniku o tych wydarzeniach. Działo się to zaraz po Wszystkich Świętych, 4 listopada 1918 r.: *Wieczór tego dnia bowiem był straszny. W rowach przy drodze leżeli ludzie pijani, jak wory. Piwnice w karczmach próżne od beczek, lecz pełne od półmartwych pijaków. Nigdy nie zapomnę, jak pewien gospodarz podawał świni wino tokajskie w putni, mówiąc do niej: – Pij, abys pamiętała, że była rewolucja (...) W Zubrzycy*

Górnej i Lipnicy Małej nawet łuny pożarów żydowskich karczem przyświecały rabunkom i kradzieżom. (Ferdynand Machay, „Moja droga do Polski”, s. 103–104)

Dzisiaj już nikt dokładnie nie pamięta tych wydarzeń, ale wspomnienia niektórych świadków nadal są powtarzane. Funkcjonują one w różnych wersjach, gdyż niektóre szczegóły dopowiadają inni członkowie rodziny, a dla pozostałych były niemałym zaskoczeniem, bo nigdy wcześniej nie słyszeli o takich wydarzeniach. Domy *na Pilchówce* i *na Kapałowce* znajdowały się najbliżej karczmy Salomona. Zabudowania były dość luźno rozproszone, więc nawet z daleka można było przyglądać się tym rozbojom. Czy faktycznie *dólanie* podpalił karczmę, czy tylko przepędził Żyda? Na te pytania brakuje odpowiedzi w powtarzanych opowieściach. Wspominało się, że ludzie obserwowali wszystko z okien własnego domu. Cokolwiek wtedy działo się *na Salomonówce*, raczej nie napawało optymizmem i nie wróżyło nic dobrego.

Prababka Rozalia z d. Zajac (Rozalia Wontorczyk 1909–1976) mieszkała *u Pilchów*. Jak dokładnie zapamiętała tamtą noc, trudno dziś powiedzieć. Czy wszystko dobrze widziała, czy raczej ukradkiem spoglądała, nie rozumiejąc, co się właściwie dzieje? Później opowiadała, że wtedy po raz pierwszy *dostała* od tatusia. Zanim rodzice wysłali ją spać do łóżka, to siedziała sobie w oknie i przyglądała się temu całemu zamieszaniu u sąsiadów. Tak się zapatrzyła, że nawet się nie spostrzegła, kiedy zrobiła dziurę w oknie. Bawiła się takim małym nożykiem. Pociągała

nim po framudze, aż w końcu wydrążyła w niej szparę. Tatuś Wilhelm (1880–1945) krzyknął – „*Ften byś okno wydłubała!*”

Libacja na Salomonówce trwała podobno jeszcze kilka dni. *Dólanie* upojeni i weseli, że Żydów przepędzili, przez kilka dni okupowali karczmę jako trofeum. Wina mieli pod dostatkiem. Mogli się za darmo najeść i napić, i już nikt nie ścigał ich za alkoholowe długi. Byli pewni, że Żyd uciekł. Niektórzy myśleli, że mógł się schować u Hermana w Lipnicy Wielkiej.

Żydówce z małymi dziećmi trudno było niezauważenie uciekać. Jednak jakoś się udało. Ludzie bali się wychodzić z domu, a co dopiero otwierać drzwi i wpuszczać kogokolwiek do środka. Aż strach pomyśleć, co jeszcze mogło przyjść do głowy *dólańskim* awanturnikom, przecież trzeźwo nie myśleli. Jak wspominała prababka, do ich domu przyszła Żydówka. Może tej samej nocy, może kolejnego dnia, ale na pewno kiedyś tam była dotarła. Przyszła po cichutku, jakoś się udało, że nikt tego nie zauważył. Postanowili jej pomóc, ale jak dokładnie? Prababka była wtedy dziewczynką, więc nie wiadomo, ile faktycznie wiedziała. W domu rodzinnym Zajaków, było wtedy więcej małych dzieci. Kto wie, może domownicy obawiali się, że mogłyby one następnego dnia rozpowiedzieć po *dziedzinie* o nocnych odwiedzinach gości ze spalonej karczmy, więc nie rozmawiali przy nich o tym.

Nikt nie pamięta, czy mieszkali oni w tych samych *izbach*. Możliwe, że ukryli ich w stodole albo gdzieś na strychu. Nikt o nich nie wspominał przez długie lata, a sąsiedzi

podobno o niczym się nie dowiedzieli. A jeżeli nawet ktoś coś zauważył, to chyba udawał, że o niczym nie wie, bo nikt dziadków Zająców nie chciał *wyzdradzić*. Dziadek Wilhelm musiał cieszyć się dobrą reputacją, bo kilka lat później został wybrany również na sołtysa wsi. Bardzo możliwe, że Żydówka z dziećmi całe dni przesiadywała w ukryciu, przez dzień w ogóle się nie pokazywała. Mieliby ukrywać się tam kilka dni albo i całe tygodnie. W końcu się spakowali i odeszli, ale szczegółów babka nie opowiadała. Może nawet sama nie wiedziała, jak to przebiegało, przecież była wtedy małą dziewczynką. Może jej rodzice, Wilhelm i Tekla mieli odrobinę czasu, żeby się z nimi pożegnać. Jak było, to już tylko oni sami wiedzieli, ale nikomu o tym nie mówili. Któż wie, jak to było?

Kiedy Żydzi ukrywali się w ich domu, mamusia Tekla z d. Kubacka (1888–1972) była w kolejnej ciąży. Kilka miesięcy albo tygodni po tym, jak Żydzi ostatecznie opuścili Lipnicę, przyszedł czas rozwiązania. Jednak dziecko urodziło się martwe. Nie zdążyli nadać mu imienia, a już następnego dnia pochowano je gdzieś na małolipnickim cmentarzu. To był chłopiec. Jak już sytuacja w Lipnicy się uspokoiła, to pewnego razu Francis (młodszy brat Rozalii, Franciszek Zajac 1912–1995) znalazł jakąś monetę w *stajni*. Wiedział, czy nie wiedział, skąd ten *piniondz* mógł się tam znaleźć, ale raczej musiał być dumny i zadowolony. Może nie od razu przyznał się do swojego odkrycia, zaś na pewno poszedł z tym *piniondzem* do sklepu i *cośik* kupił. Tatuś Wilhelm kilka lat wcześniej był



Mapa z działką karczmy Salomona

w Ameryce, to pewnie nikomu to *dziwne nie było*, że *dzieciska* znalazły *piniondze*. I tak Francisz poszedł do sklepu, *cósik niecósik* sobie kupił i wrócił z *reśtom* do domu. Te drobne, które mu wydali w sklepie,

szybko zgubił. Nie minęło wiele czasu i drugi taki sam pieniążek znowu gdzieś znalazł. Już się nie martwił, że tych drobnych nie mógł znaleźć, tylko z nowym *piniondzym* znowu poszedł do sklepu. Dzieci jak to dzieci. Wrócił do domu, schował *reśte* i znowu ją zgubił. Widać, nie miał głowy do pieniędzy. A tu co? *Reśte* jak zgubił, tak nie znalazł, ale ta sama moneta znowu gdzieś mu pod nogami wyskoczyła. To już nie był przypadek, że co monetę zgubił, to kolejną znajdował. Babka mówiła, że to musiał być ciągle ten sam *piniondz*. No, bo ile razy *obeseł* do sklepu, tyle razy się ten *piniondz* *wracował* za nim. Cały czas ten *piniondz* był w domu. Kupowali za niego, w sklepie mu *reśte* wydawali, a *piniondz* znow się pojawiał i ciągle miał taką samą wartość. Domownicy w końcu pomyśleli, że to może być *zaczarowany piniondz*, który musiała zostawić Żydówka. Może chciała odwdziżyć się za to, że pozwolili jej się u nich ukryć. Początkowo nie obawiali się tego *piniondza*, ale po jakimś czasie zaczęli się bać, żeby ludzie nie zaczęli *godać*, że u nich w domu są takie czary.

Poszli więc do ks. Józefa Buronia, proboszcza w Lipnicy Małej: *Có mome zrobić z tym piniondzym, kie ón sie nom het wraco?* Ks. Buroń zabronił wyrzucać monetę. Kazał im jeszcze raz iść do sklepu, ale tym razem mieli kupić tak dużo, żeby nie trzeba było im wydawać reszty. Ksiądz polecił, żeby nie kupowali byle czego, tylko chleb. Mieli kupić tak dużo chleba, ile wart był cały *piniondz*. Poprosili, żeby nakroić im tyle chleba, żeby ani *grosia* nie było reszty. Nakupili tyle, co nigdy. Zapłacili, reszty nie dostali i *piniondz* przestał się do nich wracać

A co stało się z Salomonem i jego rodziną? O tym się nie opowiadało. Czy mieli na tyle szczęścia, żeby uciec do Ameryki albo Izraela? Czy zdążyli opuścić Europę przed wybuchem II wojny światowej? Czy gdzieś w innych domach również podrzucali swoje żydowskie *piniondze*? Nie wiadomo.

dostać – gw. skrót od „dostać lanie”
dziedzina – wieś
wyzdradzić – zdradzić, ujawnić coś
dziwne nie było. – nikogo nie dziwiło.
cósik niecósik – coś niecoś, niewiele

Adrian Jarosz





Diablak

Lipnica Mała

Jabłonka

Żywe źródło

W Lipnicy Małej od niepamiętnych czasów istnieje żywe źródółko zwane przez niektórych jej mieszkańców Dziawragową Studzienką, innych dziabragową, a jeszcze innych dziagragową. Do dzisiaj lipniczanie polemizują ze sobą o nazwę źródółka, choć nie ma to większego znaczenia, gdyż w każdym domu jego nazwa brzmi inaczej. Stało się ono ważnym miejscem kultury ludowej, a także dowodem wiary i najcenniejszych wartości w życiu mieszkańców Lipnicy Małej.

Źródółko znajduje się głęboko w lesie na *Odumiarkach*, w roli *Adamczykowej*, na działce rodziny Gluców. Obok płynie potok, a za nim biegnie droga w stronę Lipnicy Wielkiej. Dawniej gospodarze z Lipnicy Małej chodzili nią do kościoła parafialnego w Lipnicy Wielkiej. Z kolei wędrowcy i handlarze z Rumunii czy Węgier przez Słowację, Lipnicę Wielką i Lipnicę Małą do Zawoi. Handlowali ubraniami, tkaninami, obrazami i makatami na ściany. Po drodze wstępowali również do naszej wsi, nie tylko odpocząć, ale zdarzało się, że służyli mieszkańcom dobrą radą w chorobie.

O powstaniu źródółka krąży wiele historii i le-



Źródło Dziawragowej Studzienki

gend, które są dowodem bogatej wyobraźni naszych dziadków. Jedną z nich zapamiętała pani Cecylia Pakos. Kobieta opowiada o pobożnym wędrowcu, zwanym Dziawragiem, który idąc drogą nieopodal źródła, zasłabł i postanowił odpocząć. Gdy tak sobie siedział, zaczął się modlić, aż zasnął. Śniło mu się, że w tym miejscu wypłynie źródło żywej wody i powstanie kapliczka, w której będzie obraz Matki Bożej.

Kiedy się obudził, zobaczył wokół siebie dziwną jasność, a przecież jeszcze była ciemna noc. Przerażony, ale wdzięczny Bogu, że żyje, postanowił zebrać kocioł pieniędzy i zakopał go siedem łokci od miejsca, gdzie zobaczył jasność. W krótkim czasie wytrysnęło tam źródło z wodą o właściwościach leczniczych. Wieść o tym niesamowitym wydarzeniu szybko się rozeszła. Wkrótce z sąsiedniej Lipnicy Wielkiej przywieziono do źródła bardzo chorą kobietę, w nadziei, że zostanie uzdrowiona jego wodą. Po paru dniach jednak ono wyschło. Ludzie byli przerażeni.

Mieszkańcy zaczęli się modlić i prosić Matkę Bożą o cud żywej wody, a najbardziej rolnicy, którzy przechodzili tamtędy do swoich pól. Parę miesięcy później źródło znów wytrysnęło, ale poniżej miejsca, w którym znajdowało się poprzednio. Nadal jednak w tym okręgu, gdzie wędrowiec widział jasność. Od tej pory źródło i teren wokół niego stały się dla ludzi miejscem prawie świętym, miejscem kultu lipnickiej społeczności naszych przodków. Nabierali tu sił, bo nasi dziadkowie, przez lata ciężko pracując w polu, niemalże każdego dnia pili żywą

wodę, w źródółku przemywali twarz i odpoczywali w cieniu rosnącego obok lasu.

Tego źródółka dotyczy także historia opowiedziana przez pana Emila Oskwarka. Jako młody chłopiec w latach 1953–1954 służył na plebanii, pomagając ks. Józefowi Buroniowi. Miał wtedy okazję zapoznać się z mapami, najprawdopodobniej rysowanymi przez ks. proboszcza, które przedstawiały wszystkie ważne miejsca, znajdujące się w Lipnicy Małej. Przeczytał tam także książkę, zawierającą opowiadanie o wspomnianej studzience. W pamięci Emila zachowała się historia o zbójnikach, którzy zamieszkiwali skalne jamy na terenie Babiej Góry w okolicy Krowiarek. Kiedy jeden z nich zachorował, koledzy zmartwieni tym faktem, udali się do księdza z prośbą o pomoc i spowiedź. Ks. Buroń początkowo bał się i nie chciał iść, jednak w końcu uległ prośbom zbójników i udał się do chorego. Za okazane wsparcie zbójnicy postanowili ofiarować mu pieniądze, ale ks. Buroń nie chciał żadnej zapłaty. Zbójnicy zakopali więc pieniądze w okolicy studzienki, najprawdopodobniej dziewięć metrów od niej. Mieszkańcy dodają, że znalazca tego skarbu będzie musiał wybudować kapliczkę dziękczynną.

Nadal krąży wśród starszych mieszkańców Lipnicy jeszcze inna legenda. Tym razem o pięknej dziewczynie z czarnymi warkoczami, ubranej całej na białe. Podobno chodziła do źródółka w samo południe, aby umyć swoje długie włosy. Nazywano ją Południcą. Mieszkańcy Lipnicy Małej twierdzili, że to błądząca dusza zmarłej kobiety.

Jak głoszą przekazywane z ust do ust podania, źródółko dziesięć lub dwanaście razy zmieniało położenie, a powodem tego były prozaiczne sytuacje, które zbezczęściły święte miejsce – umycie w nim nóg przez kobietę z Lipnicy Wielkiej czy wypranie w nim ubrań, tkanin.

Do dziś źródółko istnieje i nie zmienia już swojego położenia. Woda w nim nie wysycha, jest zawsze dobra, w zimie cieplejsza, latem chłodniejsza. Do tego miejsca mieszkańcy mają wielki sentyment i z ochotą odwiedzają źródółko o każdej porze roku, aby napić się z niego wody lub zabrać jej trochę dla chorych, którzy już sami nie mogą przyjść po wodę o kojącej i wyciszającej mocy.

W 2009 r. pan Ignacy Gluc obok źródółka postawił orawską kapliczkę, w której umieścił figurkę Matki Boskiej oraz dołączył do niej modlitwę na cześć Maryi. Był to wyraz wdzięczności i podziękowanie za odzyskanie zdrowia po chorobie.

Żywe źródółko jest miejscem, które warto odwiedzić i o nie dbać, aby przyszłe pokolenia mogły je poznać takim, jakim zostawili je nasi przodkowie. Kociołka z pieniędzmi nikt dotąd nie odnalazł, chociaż wielu próbowało. Jak głosi legenda, pieniądze odnajdzie osoba pobożna, skromna i o wielkim sercu.

Agnieszka Kobroń/Mariola Pena







Diablak

Lipnica Mała

Jablonka

Król instrumentów
w Lipnicy Małej

„W moich oczach i uszach, organy są królem instrumentów”

Wolfgang Amadeusz Mozart

Zaliczane do grupy instrumentów dętych (aerofonicznych) klawiszowych organy, są najbardziej złożonym i skomplikowanym instrumentem muzycznym na świecie. W 2017 r. kunszt budowy organów i muzyka organowa zostały wpisane na listę niematerialnego dziedzictwa UNESCO. Ich historia sięga czasów starożytnych, ale nadal zachwycają bogatym brzmieniem i pod tym względem nie mają sobie równych – już w XIV wieku nadano im tytuł „króla instrumentów”.

W lutym 1943 r. zostały zainstalowane przez firmę Rieger organy w kościele pw. św. Stefana Króla Węgierskiego w Lipnicy Małej. Instrument był montowany w bardzo trudnych warunkach atmosferycznych. Zima tego roku była bardzo sroga i w nieogrzewanym kościele panowała temperatura nawet do minus 5 stopni Celsjusza. Wiosną tego samego roku instrument został uruchomiony i przekazany parafii. Był to opus (dzieło) 3003, czyli organy numer 3003 licząc od powstania firmy Rieger w 1845 roku.

Zacznijmy jednak od początku. W starym ko-



Prospekt organów w Lipnicy Małej

ściele w Lipnicy Małej znajdowały się małe organy, które były już w bardzo złym stanie technicznym i o wiele za małe do nowego kościoła. Dlatego na wiosnę 1942 r. ks. proboszcz



Szczegóły prospektu z krzyżem i pięknymi złotymi akroterionami (naszczytownikami), których płomienie symbolizują muzykę wznoszącą się ku niebu

Józef Buroń wraz z organistą Józefem Łuką i radą parafialną zwrócili się do austriackiej firmy organowej Rieger z prośbą o ofertę na nowe organy. Firma Rieger miała swoją siedzibę w Jägerndorf we wschodnich Sudetach należących wtedy do Niemiec, obecnie Krnov – Republika Czeska.

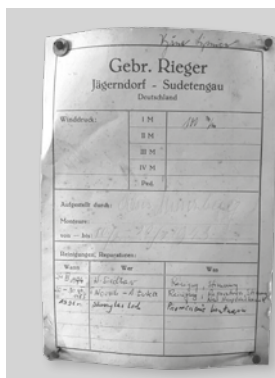
Za wyborem tej firmy przemawiał fakt, że zbudowała ona organy w Jabłonce, Zubrzycy Górnej i Lipnicy Wielkiej jeszcze za czasów monarchii austro-węgierskiej i wspomniane parafie były z tych instrumentów bardzo zadowolone. Drugi argument to możliwość przewożenia towarów w tamtym okresie z terenu Niemiec na Słowację (ta część Orawy należała wówczas do Słowacji) bez płacenia cła. Po II wojnie światowej firma przeniosła się do miejscowości Schwarzach w zachodniej Austrii i nadal buduje organy na całym świecie. O randze firmy najlepiej świadczą następujące wspaniałe instrumenty:

- Organy olbrzymie (*Riesenorgel*) z 2020 r. – 130 rejestrów – w Archikatedrze św. Szczepana w Wiedniu. (Oprócz organów olbrzymich, w Archikatedrze znajdują się jeszcze dwa mniejsze instrumenty firmy Rieger);
- Organy wielkie z 2022 r. – 62 rejestry – oraz organy w prezbiterium (na małym chórk z lewej strony ołtarza Wita Stwosza) z 2018 r. – 14 rejestrów – w Bazylice Mariackiej w Krakowie.

Firma Rieger chętnie przystała na tę propozycję i przysłała bardzo interesującą ofertę na budowę czternasto rejestrowych (głosowych) organów rozłożonych na jedną klawiaturę ręczną (manual) i klawiaturę nożną (pedał). Po dopracowaniu szczegółów: doboru rejestrów, wyboru charakteru brzmienia instrumentu i rozwiązań technicznych przez ekspertów firmy i małopolskiego organistę Józefa Łukę (mojego dziadka), została 21 czerwca 1942 r. podpisana umowa na budowę nowych organów. Organy te były finansowane przez Wspólnotę Leśną „Urbar”, dlatego umowę ze strony parafii podpisał zarząd Urbaru w składzie:

Józef Łuka – prezes,
Józef Ferenc – skarbnik,
Karol Motolik – członek,
Andrzej Wilk – członek.

Teraz kilka słów o tym, jak od początku wygląda budowa organów. Najpierw dokonuje się wszelkich pomiarów



**Metryka organów w Lipnicy Małej
(Wyżna Lipnica)**

Bracia Rieger

**Jägerndorf - Region Sudety
Niemcy**

**Ciśnienie powietrza - I manual - 100 mm
słupka wody**

**Postawione przez montażystę
Aloisa Münzberga**

W dniach od 10.02. - 20.02.1943

w miejscu postawienia organów w danym kościele – dopuszczalna wysokość, szerokość, głębokość szafy organowej i stołu gry (kontuaru organowego). Następnie wykonuje się rysunek projektu całego instrumentu ze wszystkimi szczegółami. Po zatwierdzeniu projektu przez obydwie strony przystępuje się do jego realizacji. Co ciekawe, cały instrument buduje się najpierw w zakładzie organowym, po sprawdzeniu czy wszystko jest dobrze wykonane i działa, składa się organy do skrzyń transportowych i wysyła na miejsce przeznaczenia.

Nasz instrument powstawał późną jesienią 1942 roku. Małolipniczańskie organy, jak już wspomniałem, mają 14 rejestrów (głosów) i był to w tamtym okresie największy instrument w dekanacie. Posiada: 54 klawisze w klawiaturze ręcznej i 27 klawiszy w klawiaturze nożnej, około 1000 piszczałek, z których najmniejsza ma długość około 3 centymetrów, a największa około 3 metrów. Można sobie wyobrazić, jak pracochłonne jest nastrojenie takiej ilości piszczałek.

Rozpiętość dźwiękowa (skala) sięga 8 oktav (oktawa liczy 12 dźwięków), czyli mamy możliwość zagrania 96 różnej wysokości dźwięków. Dla porównania skala trąbki wynosi około 2.5 oktawy, skrzypiec około 4.5 oktawy.

Oto pełna dyspozycja organów autorstwa firmy Rieger i organisty Józefa Łuki:

Manuał C-f3,	Vox coelestis 8'	Pedał C-d1,
54 klawisze	Flet 8'	27 klawiszy
Pryncypał 8'	Oktawa 4'	Subbas 16'
Burdon 8'	Róg nocny 4'	Echobas 16'
Salicet 8'	Flet leśny 2'	Oktawa 8'
Gamba 8'	Mixtura 3–4x	Cello 8'

Traktura gry pneumatyczno-stożkowa

Połączenie Manuał-Pedał, Super Manuał, Piano, Mezzoforte, Forte, Wyłącznik (p, mf, f)

Crescendo walec z wyłącznikiem.

A tutaj kilka ciekawszych rejestrów w naszych organach:

- Pryncypał to głos podstawowy, dominujący i widoczny w prospekcie organowym (pierwszy z przodu rząd reprezentacyjnych, metalowych piszczałek);
- Salicionał to delikatny głos przypominający dźwięk piszczałki z drzewa wierzbowego;
- Gamba to głos naśladujący brzmienie dawnego instrumentu smyczkowego;

- Vox coelestis to głos niebiański, łagodny i lekko wibrujący;
- Cello to głos o ciemnej barwie, przypominającej dźwięk wiolonczeli.

Są też rejestry imitujące dźwięki fletów czy dźwięk rózki jak:

- Flet poprzeczny,
- Flet leśny,
- Róg nocny.

Materiał, z którego zbudowane są piszczałki, to metal lub drewno. Jeżeli chodzi o metal, to w naszych organach wielkie piszczałki zbudowane są z cynku, natomiast mniejsze ze stopu cyny i ołowiu, tzw. metalu organowego (po niemiecku Orgelmetall). W zasadzie bardzo rzadko buduje się piszczałki z cynku, ale pamiętajmy, że był to okres II wojny światowej,



Wielkie piszczałki metalowe

więc cyna i ołów były zarezerwowane dla celów militarnych.

Natomiast piszczałki drewniane (niewidoczne z zewnątrz) zbudowane są z drewna świerkowego. Organmistrzowie do wyrobu piszczałek drewnianych używają surowca najwyższej jakości – drew-



Małe piszczałki metalowe

na sezonowa-
nego przez co
najmniej 10 lat,
bez sęków,
o równych sło-
jach i bardzo do-
brych walorach
rezonansowych

(brzmieniowych). Świerkowe drewno rezonansowe pozyskuje się w górach na wysokości 800 – 1500 m n.p.m. Drzewo to rośnie wolniej niż na terenie nizinnym, przez co ma gęstsze słoje i lepiej rezonuje. W Polsce najlepsze drewno rezonansowe znajduje się w okolicach Istebnej, Wisły oraz w Sudetach, skąd właśnie mająca tam swoją siedzibę firma Rieger pozyskiwała drewno do budowy swoich organów. Tu ciekawostka, słynny włoski budowniczy skrzypiec Antonius Stradivarius tworzył swoje arcydzieła również ze świerkowego drewna rezonansowego z południowo-wschodniej części włoskich Alp, Dolomitów. Najdroższy jego instrument wyceniono w 2014 r. na 45 milionów dolarów – do dziś rekordowa cena za instrument muzyczny.

Wracając do naszych organów, jak już wspomniałem, były one finansowane przez wspólnotę urbarialną, a ich cena w 1942 r. wynosiła 7064 ówczesnych marek niemieckich. Obecnie bałaby to niebagatelna suma około miliona złotych. Firma Rieger dała na instrument 5 lat gwarancji, ale ze względów od niej niezależnych (zawierucha wojenna) nie mogła dotrzymać

umowy gwarancyjnej. Opiekę techniczną nad organami przejął w tej sytuacji najpierw Józef Łuka, a następnie przez prawie 40 lat jego syn, również lipnicki organista, Emil Łuka (mój ojciec). Wszystkie prace, jak: strojenie, czyszczenie piszczałek, usuwanie usterek itd. wykonywali bardzo fachowo, z dużym zaangażowaniem emocjonalnym, czasowym oraz nieodpłatnie.



Piszczałki drewniane

Teraz kilka ciekawostek dotyczących naszego instrumentu. Organy do tego, aby grały, potrzebują sprężonego powietrza. W dzisiejszych czasach służy do tego dmuchawa elektryczna. Dawniej, w czasach bez prądu (elektryczność do Lipnicy doprowadzono dopiero na początku lat 70. XX wieku), był do tego zatrudniony pracownik, zwany *kalikantem* – obsługujący miech dostarczający powietrze do piszczałek. U nas w Lipnicy pełnił najczęściej tę funkcję, za dodatkową opłatą, grabarz. Na ślubach to odpowiedzialne zadanie chętnie przejmowali druzbowie. Kalikowali bardzo wesoło i gorliwie, tak, że organista musiał uważać, żeby nie rozsadzili „miecha”, a razem z miechem organisty. Gorzej wyglądała sytuacja, kiedy chciało się poćwiczyć samemu. Wtedy trzeba było najpierw szukać wol-

nej siły roboczej, najczęściej pod sklepem lub barem i prosić najmniej zmęczonego, a najbardziej zdolnego pana, który po krótkim przeszkoleniu zdobywał zawód kalikanta. Oczywiście wtedy już pobierał opłatę za swoją pracę jako pracownik wykwalifikowany.

Okres budowy organów to bardzo trudne czasy wojenne. Wielkim problemem był transport, ponieważ wagony towarowe były przeznaczone dla wojska, a tylko nieliczne do celów cywilnych. Jednak po wielu trudach skrzynie z częściami organów dotarły koleją aż do miejscowości Trstená (około 20 km od Lipnicy Małej), a następnie nasi wspaniali lipnicki furmani przewieźli je saniami w nienaruszonym stanie do kościoła.

Drugim problemem była presja czasu. Front zbliżał się nieuchronnie. Dosłownie w ostatniej chwili dokonano tego wielkiego dzieła. W następnym roku wykonanie i transport instrumentu byłyby już niemożliwe, ponieważ firma Rieger została zmuszona do zaprzestania produkcji organów na rzecz wykonywania skrzyń na amunicję, a w styczniu 1945 r. linia frontu była już między Lipnicą Małą a Lipnicą Wielką. Po wojnie europejskie firmy



*Miejsce pracy „kalikanta” - pedał
do pompowania powietrza i zegar
wskazujący ciśnienie*

organowe dopiero w latach 50. XX wieku powoli zaczęły wznowiać budowę organów.

Nasze lipnickie organy darzę olbrzymim sentymentem. To na nich, mając 3 lata i siedząc na kolanach taty, zagrałem pierwsze dźwięki, to tu zagrałem pierwszą mszę w wieku 12 lat, tu spędziłem niezliczoną ilość godzin, ćwicząc utwory literatury organowej oraz grając liczne zastępstwa, a przede wszystkim msze z okazji wielkich uroczystości parafialnych. Od tych organów zaczęła się moja piękna muzyczna droga w świat.

Tym artykułem chciałbym bardzo serdecznie podziękować, a przede wszystkim oddać cześć i hołd inicjatorom: ks. proboszczowi Józefowi Buroniowi, organiście Józefowi Łuce, Wspólnocie Leśnej „Urbar” oraz całej wspólnotie parafialnej w Lipnicy Małej za dokonanie wyboru bardzo dobrej firmy, zapewnienie zaplecza i nadzoru oraz sfinansowanie tego wspaniałego instrumentu.



*Autor artykułu przy organach Riegera.
Oryginalny kontuar znajdował się wówczas
z przodu instrumentu*



Niech te organy dalej cudownie rozbrzmiewają!
IN GLORIA DEI IN BENEFICIO HOMINUM
BOGU NA CHWAŁĘ, LUDZIOM NA POŻYTEK

Andrzej Łuka

**80 Jahre Rieger-Orgel in Vysna Lipnica
Grußwort des Orgelbauers**

Jubiläen sind eine willkommene Gelegenheit, den Blick zurückzuwenden in Dankbarkeit. 1845 hatte Franz Rieger in Jägerndorf (heute Krnov) seine Orgelbaufirma gegründet. Auf diese mittlerweile sehr lange Firmengeschichte sind wir ein wenig stolz, denn unseres Wissens gibt es weltweit keine andere Orgelbaufirma, die ebenso lange ununterbrochen existiert.

Von Anfang an hatte Rieger großen Wert gelegt auf handwerkliche Präzision, auf technische Innovation, und vor allem auf Klangschönheit. Nur so ist es gelungen, dass sich Rieger bereits in frühen Jahren ein hohes Maß an Anerkennung verschaffen konnte, dem Aufträge weltweit und mehrere Auszeichnungen folgten. Und nur so, dank der besonderen Qualität, war es möglich, dass sich bis heute so viele Rieger-Orgeln erhalten haben, die noch am Gründungsort der Firma, in Krnov, erbaut wurden.

Ihre Orgel in Vysna Lipica trägt die Opuszahl 3003 und wurde im Jahr 1942 hergestellt, also im letzten Jahr, in dem die alte Firma Rieger in Jägerndorf noch Orgeln baute, bevor die Arbeit kriegsbedingt eingestellt werden musste. In diesem letzten Jahr wurden insgesamt 23 Orgeln gebaut, eine davon übrigens für unser jetziges Nachbardorf in Maria Bildstein / Vorarlberg (op. 2999). Es gab also schon damals Verbindungen in unsere Gegend. Auch Ihre Orgel mit 14 Registern auf einem Manual und Pedal zeichnet sich bis heute dadurch aus, dass sie sämtliche Formen des liturgischen Orgelspiels ebenso möglich macht wie die Darstellung zahlreicher Orgelmusikepochen. Und nach wie vor besitzt dieses Instrument eine ganz eigene, individuelle künstlerische Ausstrahlung.

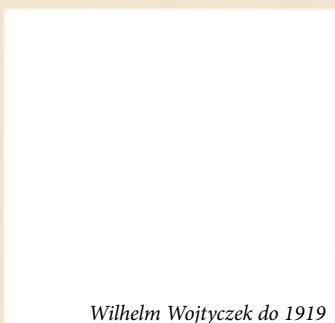
Der gesamten Gemeinde gratuliere ich sehr herzlich zu diesem Jubiläum: Öffnen Sie Ohren und Herzen weit und lassen Sie dieses schöne, inzwischen 80 Jahre alte Instrument jubelnd erklingen. Und uns gratulieren wir auch ein wenig, nämlich dazu, dass wir mit Ihnen nach wie vor in freundschaftlicher Verbindung stehen und uns mit Ihnen freuen dürfen.

Alle guten Wünsche!



Wendelin Eberle
Rieger Orgelbau

REKTORZY MUZYCZNI ŚW. STEFANA, KRÓLA WĘGERSKIEGO



Wilhelm Wojtyczek do 1919



Józef Łuka 1919–1956



Emil Łuka 1956–1993

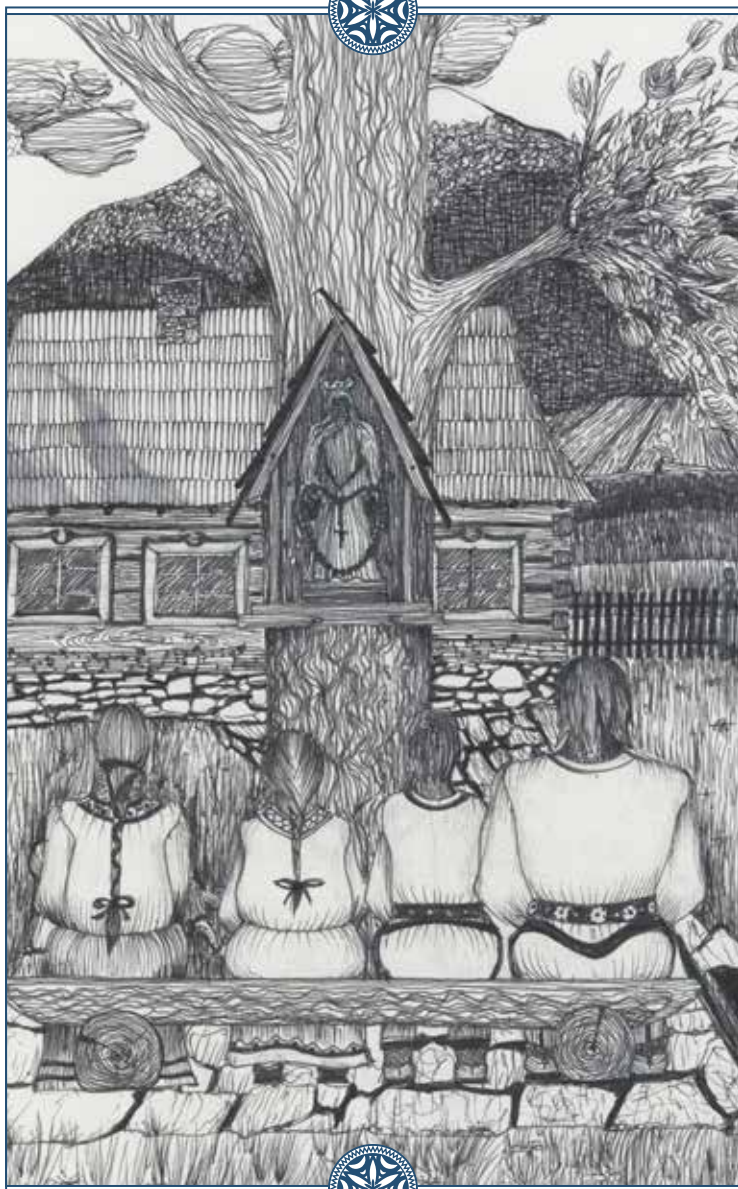


Józef Oskwarek 1994–1997



Janusz Pajkos od 1997







XIII księga - Znak pękniętych dzwonów

Jabłonka

1.

Być gospodynią na plebanii – to trudne zadanie. Księża, jak wszyscy, mają różne charaktery. Nie zawsze łatwe.

Być, jak pani Adela, gospodynią już cztery dekady – wymaga cech wyjątkowych. Choćby traktowania plebanii jak drugiego domu, a księży, którzy się przez parafię przewijają, jak członków własnej rodziny. Nic dziwnego, że gdy pani Adela Śmiech świętowała półwiecze swojego małżeństwa, zaprosiła do Lipnicy Małej wszystkich diakonów i wikarych, którzy tu posługiwali.

Znalazł się wśród nich ks. Wojciech Łoś, wikary w latach 2008–2012. – Był trzydziestoparolatkiem, ale ciężko chorował – wspomina pani Adela. – Kilka lat wcześniej, podczas pobytu na nartach we Włoszech, zasłabł pierwszy raz. Okazało się, że ma wrodzoną wadę serca.

Leczenie było trudne i wymagało wielu operacji. Każda mogła być ostatnia. – Zawsze, gdy wyjeżdżał z Lipnicy, żegnał się, jakby już miał nie wrócić. Ile to razy dziękował nam za wszystko! – opowiada gospodyni.



Nowy dzwon św. Stanisław

– A gdy wracał, mówił: „Do-
stałem jeszcze trochę czasu na
życie” – dodaje ksiądz Piotr Gro-
towski, obecny proboszcz.

2.

Ksiądz Łoś, jak i inni goście
pani Adeli, przyjechał do Lipni-
cy na czas nabożeństwa fatim-
skiego.

Ksiądz Grotowski: – Był
słaby, z trudem stał na nogach.
Po mszy poszedł jednak na pro-
cesję. W pewnej chwili usłyszałem, że mówi: „Coś złego dzie-
je się z jednym z dzwonów. Jest zepsuty”.

Następnego dnia sprawdzono – dzwon rzeczywiście
pękł. Było to dziwne. Przecież ufundowane przez parafian
dzwony sprowadzono do Lipnicy zaledwie 8 lat wcześniej.

Kiedy później ksiądz Łoś żegnał się z panią Adelą, po-
wiedział: „Jeśli się spotkamy, na pewno dłużej porozmawia-
my”. Już się jednak nie spotkali – były wikary zmarł niedługo
potem w wyniku komplikacji po kolejnym zabiegu.

Minęło kilka tygodni. Któregoś dnia, gdy pracowano
przy kaplicy pogrzebowej, proboszcz Grotowski usłyszał,
że stłumiony, niemal głuchy dźwięk wydaje jeden z dużych
dzwonów. Ten również okazał się pęknięty.



Wieża kościoła św. Stefana

3.

W maju 2019 r., z okazji stulecia parafii, śladami świętego Stefana, jej patrona, zorganizowano pielgrzymkę na Węgry. Wtedy, w Vác koło Budapesztu, zmarł ks. Adam Leśniak, wieloletni proboszcz.

– W czasie całego wyjazdu źle się czuł. W dniu swojej śmierci długo nie schodził na śniadanie. Był słaby. Gdy dojechaliśmy na miejsce, wysiadł z autobusu i wkrótce zasnął – wspomina pani Adela.

Byłego proboszcza nie udało się uratować. Wszyscy w Lipnicy pamiętają jego pogrzeb. Trumna wieziona przez strażaków – proboszcz zmarł 4 maja, w dzień św. Floriana – znicze ustawione wzdłuż drogi... Dawny proboszcz zostawił po sobie dobrą pamięć. Lubił słuchać ludzi, sam mówił raczej mało. Za to działał – jego zasługą są odnowione nawy w kościele, nowy dach.

Pani Adela miło wspomina czas, gdy proboszcz Leśniak i ksiądz Łoś byli wspólnie na plebanii: – Dobrze im się razem pracowało. Proboszcz się nigdy na niego nie skarżył, a ksiądz Wojciech też złego słowa nie powiedział. A przecież nie zawsze tak jest – mówi.



Nowy dzwon Jan Paweł II

Ksiądz Łoś, ucząc religii i przygotowując do sakramentów, nawiązał bezpośrednie relacje z wieloma parafianami. Księża dobrze się uzupełniali.

4.

Zepsute dzwony wymieniono. Ale zanim do tego doszło, odkryto, że na obu były wygrawerowane dwa nazwiska: ks. proboszcza Adama Leśniaka i, co się rzadko zdarza, ks. wikarego Wojciecha Łosia.

Ks. Piotr Grotowski: – Oba pękły i do pół roku żaden z nich już nie żył. Ludzie mówią: gdy pęknie dzwon, to jest znak nieszczęścia.

###

Marcin Żyła







Diablak

Lipnica Mała

Jablonka

Notki biograficzne

Andrzej Łuka – organista, pianista, dyrygent i kompozytor.

Ur. 07.11.1957 r. w Lipnicy Małej, gdzie uczęszczał do SP nr 2, a następnie do LO w Jabłonce. Rodzice Maria, (nauczycielka szkoły podstawowej) i Emil Łuka (organista). Absolwent Akademii Muzycznej w Krakowie oraz Hochschule für Musik in Zürich w Szwajcarii. Organista tytularny w kościołach św. Tomasza w Bazylei oraz w Zurychu. Profesor organów i fortepianu w Konserwatorium Muzycznym w Zurychu. Zauroczony muzyką ludową Orawy, napisał wariacje na temat pieśni *Orawa* na fortepian z okazji I Światowego Zjazdu Orawian w Jabłonce w 2012 roku. Działalność koncertowa na wszystkich kontynentach. Sposób spędzania wolnego czasu: jazda konna, pływanie, wędrówki górskie. W Tanzanii odwiedził grób rodaka i przyjaciela z Lipnicy Małej, śp. ks. Karola Szlachty. Z wielką przyjemnością wraca na Orawę, do rodzinnej Lipnicy.

Agata Białoń – lipniczanka związana z tą piękną miejscowością. Absolwentka psychologii na Akademii Ignatianum w Krakowie. Aktualnie pracuje jako psycholog w orawskich szkołach. Uwielbia pracę z dziećmi i młodzieżą, a szczególną radość sprawia jej widok rozwijanych przez nich pasji i zainteresowań. Sama uwielbia się rozwijać i podejmować różne wyzwania. Jest miłośniczką dobrej książki i długich spacerów.

Agata Bochaczyk, ur. 20 lutego 1980 roku. Mieszka w Lipnicy Małej. Cóрка Małgorzaty i Teodora. Najmłodsza z ośmiorga rodzeństwa. Mężatka. Wykształcenie średnie. Z zawodu wizażystka&stylistka po wielu kursach. Hobby: fotografia, muzyka, poznawanie historii oraz tworzenie makijaży i stylizacji ostatniego stulecia.

Maciej Ciszek, ur. 1982 w Zakopanem. Absolwent Technikum Budowlanego w Zakopanem. Mieszka w Lipnicy Małej. Mąż i ojciec dwójki dzieci. Zainteresowania: historia, fizyka i chemia. Pasje: w latach młodości kolarstwo górskie MTB i maratony; obecnie grafika i malarstwo.

Ks. Piotr Grotowski, ur. 1969 na zatorskim zamku, spod znaku skorpiona. Kapłan Archidiecezji Krakowskiej od 1994 roku. Duszpasterzował w Chrzanowie i Krakowie, m.in. w Sanktuarium Miłosierdzia Bożego i Seminarium Duchownym oraz gimnazjach państwowych i społecznych. Na Orawie w Małej Lipnicy u św. Stefana od 2017 roku. Pielgrzymuje i wędruje, interesuje się człowiekiem. Aktywnie uprawia sport.

Adrian Jarosz, ur. 1990 – rodem z Małej Lipnicy, z wyboru krakowianin. Absolwent fizyki technicznej na Politechnice Krakowskiej oraz Etnologii i Antropologii Kulturowej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracował jako nauczyciel, a obecnie jako genealog „bada korzenie” ludzi z całego świata. Z zamiłowywania muzykant i regionalista. Pierwszy instruktor zespołu Małolipnicanie.

Agnieszka Kobroń, rodowita lipniczanka. Absolwentka AWF im. Jerzego Kukuczki w Katowicach, na kierunku fizjoterapia. Obecnie prowadzi własną działalność. Lubi pracę z ludźmi, kocha zwierzęta i przyrodę. Wielką frajdę sprawia jej chodzenie po górach. Aktywnie uczestniczy w życiu parafii, współredaguje kronikę parafialną.

Damian Pena, ur. 18 października 1987 roku. Zamieszkały w Lipnicy Małej. Syn Bernadety i Józefa. Ma starszego brata. Mąż i ojciec dwóch córek. Z wykształcenia kucharz, obecnie wykonuje zawód budowlańca. Hobby: gotowanie, odkrywanie przyrody, zainteresowanie pojazdami mechanicznymi, jazda quadem.

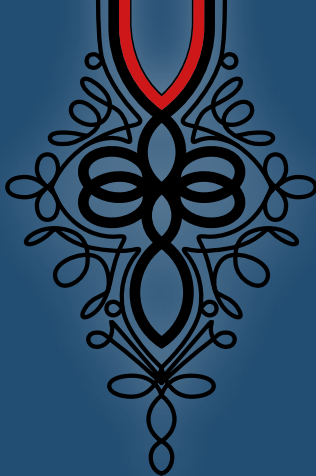
Mariola Pena, ur. 25 maja 1990 roku. Zamieszkała w Lipnicy Małej. Córką Heleny i Józefa Wontorczyk. Najstarsza z trojga rodzeństwa. Mężatka i matka dwóch córek. Wykształcenie wyższe. Nauczycielka, obecnie katecheta w Szkole Podstawowej nr 3 w Lipnicy Małej i przedszkolu „Bajkolandia”. Hobby: książka, muzyka, poznanie historii głównie lokalnej, zainteresowania: filozofia, teologia oraz psychologia.

Mateusz Ślanczyk, małolipniczanin mieszkający w Krakowie. Naukę zawodu rozpoczął w Technikum Budowlanym w Lipnicy Wielkiej, a ukończył na Politechnice Krakowskiej na Wydziale Architektury. Miłośnik kultury i sztuki.

Barbara Zgama, ur. 1971 w Jabłonce, absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, doktorat na Uniwersytecie Śląskim. Kiedyś wykładowca, obecnie nauczyciel i dyrektor szkoły, zawodowo związana z Podwilkiem. Współautorka książek o Orawie. Zainteresowania: poezja śpiewana, dobra książka, górskie wędrówki. Lubi rozmawiać z ludźmi.

Xymena Smreczak, ur. 25 maja 2000 roku, mieszkanka Lipnicy Małej. córka rzeźbiarzy Mariana i Magdaleny Smreczak. Ukończyła Państwowe Liceum Plastyczne im. Antoniego Kenara w Zakopanem. Zafascynowana sztuką i rzemiosłem ludowym. Absolwentka Ceramiki na Wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych, studentka Etnologii i Antropologii Kulturowej. Kuratorka lokalnych wystaw, organizator wydarzeń kulturalnych. Badaczka wzornictwa Polskiej Orawy. Studiuje dziedzictwo farbiarstwa i przemiany w ubiorze mieszkańców Orawy na przestrzeni wieków.

Marcin Żyła, dziennikarz, zastępca redaktora naczelnego "Tygodnika Powszechnego", pochodzi i mieszka w Krakowie, od dzieciństwa spędza wakacje na Zakamionku na Orawie



ISBN: 978-83-66877-13-9



9 788366 877139 >